


NASZ DOM

WARSZAWA KRAKÓW

(TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI)

PISMO ILLUSTROWANE, POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM.

Rok LIII. 4 Października 1913 r. № 40.

Domy dziecięce we Włoszech.

(Le Case dei Bambini).

Większa przepaść, niż między ciemnym analfabetą a uczonym profesorem, istnieje między człowiekiem dobrze wychowanym a niewychowywanym wcale. Nie wnikam narazie we wszystkie błędy, popełniane u nas w tak zwanem — niesłusznie nieraz— starannem wychowaniu. Są one częstym tematem wykładów, dyskusyi, drukowanych rozpraw, z których wszystkie — ściśle biorąc — mają na względzie jedynie dzieci klas zamożnych, otoczone pieczołowitem staraniem, często kosztowną, niezawsze umiejętną opieką.

Obok nich istnieje jednak całe mnóstwo dziatwy, rosnącej zupełnie dziko, karconej i napominanej nieraz bardzo ostro, ale zawsze przygodnie przez tych, którym zawadza, którym się pod nogami plącze — lecz nie wychowywanej wcale. Przypadek decyduje o jej wrażeniach, doświadczeniach, nałogach lub wiadomościach. Są one pasierbami cywilizacyi, która ma dla nich tylko razy, gdy dla rodzonych dzieci wygody i pieszczoty.

Jedni znają samochód stąd, że nim jeżdżą, inni, że przed nim uciekać muszą. Toż samo jest z postępem i cywilizacyą: jednych podnosi, drugich odtrąca.

Powszechne nauczanie jest dziś już w społeczeństwach cywilizowanych bezsporną koniecznością. Stąd jednak jeszcze dość daleko do uznania za równo nieodzowną konieczność powszechnego wychowania. Do szkoły idą dzieci już odchowane. Zanim osiągną wiek odpowiedni dla systematycznej nauki, — już zdążyły się w nich utrwalić złe lub dobre nawyknienia, już umysł ich zapełnił się szeregiem wyobrażeń mętnych lub jasnych, uporządkowanych lub chaotycznych, prawdziwych lub błędnych. Nie są to już tablice czyste, na których szkoła kreśli pierwsze słowa, lecz nieraz mocno zachwaszczone grzędy, które trzeba usilnie pleć, nim się je uprawiać zacznie. Szkoła ludowa tego zadania spełnić nie może, ma ona bowiem do czynienia ze zbyt liczną gromadą dziatwy i chcąc jej choć najelementarniejsze wpoić wiadomości, musi w pierwszym rzędzie trzymać ją w ryzie — utrzymać spokój w klasie.

Jej wpływ wychowawczy jest i spóźniony i ograniczony, jej zadanie bardzo trudne, jeśli opieka pozaszkolna w pomoc jej nie przychodzi.

W gruncie rzeczy, i szkoła średnia jest zupełnie w tem samem położeniu. Nauczyciele i wychowawcy wiedzą dobrze, jak niewdzięcznym materyałem są dzieci pozbawione wychowania domowego i rozumnego kierunku w rodzinie.

Im głębiej w jakiemś społeczeństwie utrwala się uznanie powszechnego prawa do oświaty, tem gorliwsze usiłowania uzupełnienia go powszechnem wychowaniem.

Wyrazem tych dążeń są „Domy dziecięce“ we Włoszech. Możnaby je poprostu nazwać ochronami, gdyż tak samo, jak one, są przeznaczone dla dziatwy w okresie przedszkolnym. Różnica — dość ważna zresztą — polega na tem, że „Domy dziecięce“ stanowią cząstkę domów zamieszkałych przez ludność robotniczą, gromadzą dzieci z jednej tylko kamienicy i są jakoby uzupełnieniem ogniska domowego. Stąd wynika ściślejsza łączność między rodziną a ochroną i nieprzerwany między niemi kontakt. Ponieważ chodzi o maleństwa od 2 i pół do 6-ciu lub 7-miu lat, niemałem ułatwieniem jest to, że dzieci pozostają pod swoim dachem; ani niepogoda, ani obawa przed ruchem ulicznym nie staje im na przeszkodzie w systematycznem, codziennem uczęszczaniu do ochrony. Już to samo zbliża ich położenie do rówieśników z rodzin zamożnych, mających opiekę i wychowanie we własnym domu.

Cały system wychowawczy, stosowany w Domach Dziecięcych, zmierza nejwyraźniej do tego, by instytucye te uczynić jak najpodobniejszemi do istotnych ognisk rodzinnych, wychowanie w nich udzielane, do wychowania domowego.

Ellen Key, zawzięta przeciwniczka zbiorowej edukacyi, nie bez racyi dowodziła, że małe dzieci niezmiernie wiele tracą, gdy się wychowują w gromadzie, wszelki szablon bowiem, wszelka komenda, tresura, lekcye wspólne — zabijają w zarodzie ich ledwie kiełkującą indywidualność. Kto kiedykolwiek pilnie obserwował zabawy małego dziecka i zrozumiał ich wielce kształcące znaczenie — musi to potwierdzić.

Wśród tej zabawnej krzątaniny, polegającej na ustawianiu, rozrzucaniu, podnoszeniu i ciskaniu przedmiotów, na nieprzerwanej czynności i ruchliwości, umysł dziecka zdobywa elementarną znajomość rzeczy i ich własności, takich, jak wielkość, gładkość, twardość, ciężar, odległość, kruchość i t. p. Żadna pogadanka nie zastąpi eksperymentalnych studyów, może nawet ich bieg mącić, bądź to podsuwając przedwcześnie wyraz, gdy wyobrażenie jeszcze się nie wytworzyło, bądź też wprowadzając niepotrzebnie między dziecko i otoczenie pośrednictwo obserwacyi osoby dorosłej, która w przeciwieństwie do dziecięcej bezpośredniości zawsze więcej wie, niż widzi. Wykład dla dzieci w tym wieku ma tę samą wartość,

co okulary dla zdrowych oczu — przesłania pole widzenia mglistą przegrodą zbytecznego szkła.

Dr. Marya Montessori w systemie, który zaprowadziła, a który obszernie opisuje i motywuje w swej książce (La Case dei Bambini), *) usiłuje usunąć wszystkie cechy sztuczności, nieodłączne od zbiorowego wychowania małych dzieci, zapewnić im maximum wolności, samodzielności i inicyatywy.

W tym celu zupełnie usuwa ławki, zmierzające do unierchomienia i uszeregowania uczniów, wyklucza zbiorowe pogadanki i lekcye, kierowniczkom zaleca, by jaknajmniej mówiły, jaknajwięcej obserwowały, słuchały, notowały swe spostrzeżenia. Chcąc poznać dziecko, trzeba mu dać swobodę, aby nam objawiło swą naturę. Wszelkie rozkazy, wskazówki, rady, muszą być udzielane okolicznościowo, w krótkich, zrozumiałych słowach. Każdemu dziecku daje się to objaśnienie, które jest mu narazie potrzebne, nie zmuszając innych do słuchania słów, które ich w danej chwili nie zajmują. Nie mówi się dla wszystkich, lecz dla tych, które chcą słuchać. Samo zainteresowanie zwiększa grupę słuchaczy i skupia ich wkoło jednego przedmiotu.

Wszystkie zajęcia zmierzają do wyćwiczenia dzieci w czynnościach, mających codzienne zastosowanie, lub do ukształcenia ich zmysłów dla bezpośredniej obserwacyi. Do pierwszych należą mycie się, ubieranie i obuwanie, zapinanie, wiązanie, wieszanie i czyszczenie ubrania, ścieranie kurzu, pielęgnowanie roślin i zwierząt. Do drugich, bawienie się przedmiotami, mającemi pewne podobieństwo do zabawek freblowskich, a będącemi zarazem przyrządami do eksperymentów psychologicznych. Są tu więc tabliczki różnokolorowe do sprawdzania wrażliwości na barwy i do nauki o kolorach, cegiełki, równe kształtem i rozmiarami, lecz różnią się ciężarem, sześciany o stopniowanej wielkości, walce o różnej średnicy do osadzania w okrągłych otworach, niby świece w lichtarzach, i t. p. Szczegółowy opis tych przyrządów, grających w zajęciach dziecka rolę łatwych łamigłówek, znajdą Czytelniczki w książce Maryi Montessori. Obok ćwiczeń dotyku, wzroku, zmysłu mięśniowego, prowadzone są w Domach Dziecięcych i ćwiczenia słuchu, które również autorka dokładnie objaśnia.

Metoda jej jest zajmująca i wychowawczynie mogą się od niej niejednego nauczyć, ażeby jednak ślepe naśladownictwo nie zamieniło jej w sztuczną manierę, należy pamiętać, jaką drogą do niej doszła i na jakim terenie ją stosuje.

Dr. Marya Montessori zajmowała się najprzód psychologią eksperymentalną i wyrobiła sobie na mocy długich doświadczeń pewien krytycyzm względem jej wyników. Badanie materyału tak żywego i wrażliwego, jak natura ludzka, musi oddziaływać na przedmiot badany. Sprawdzanie sprawności zmysłów jest zarazem ich ćwiczeniem. To ją skłoniło jednak do zastosowania owocu swych doświadczeń w kształceniu niedorozwiniętych, upośledzonych i idyotów. Na niewdzięcznym terenie pedagogii leczniczej pracowała przez lat kilka, a rezultaty, osiągnięte przez dzieci nienormalne, naprowadziły na myśl, że taż sama metoda zastosowana do normalnych może dać wyniki imponujące.

Nie ulega wątpliwości, że niejedno zalecane przez nią ćwiczenie, okaże się dla dzieci zdrowych, rozwijających się w pomyślnych warunkach, zbyt łatwem, a przez to nudnem i niepotrzebnem. Dzieci zostawione same sobie nietylko eksperymentują, lecz fantazjują, i to jest nie mniej ważnym warunkiem ich umysłowego rozwoju. Łatwo się zdarzyć może, że otrzymawszy sześciany dla uszeregowania ich wedle wielkości, zamiast ustawić wieżę o szerokiej podstawie i wązkim wierzchołku, zabawią się w kolej żelazną, w której sześciany będą wagonami, lub też największy postawią w środku, jako stół, a obstawią go wkoło niższemi ławkami.—Mimo takiego zboczenia od planu wychowawców mogą również i przy tej zabawie nauczyć się poznawać wielkość, kształt, różnice i podobieństwa przedmiotów. Nie będzie to ściśle zgodne ze wskazówkami Montessori, lecz będzie zupełnie leżało w duchu jej pedagogicznych zasad, gdy w tym razie, jak w wielu innych, zostawimy dzieciom wolną rękę do czynienia eksperymentów dowolnych i spożytkowywania przyrządów wedle własnego rozumienia.

Swobodna zabawa dziecka nietylko przez to jest wiele warta, że daje mu poznać własności rzeczy, lecz że otoczeniu pozwala poznać dziecko, co z wielkim naciskiem kilkakrotnie powtarza autorka we wstępie swej książki. Jest to najważniejsza z zawartych w niej pedagogicznych wskazówek i ma zastosowanie we wszelkich warunkach.

Drugą niezmiernie ważną jest obraz samej instytucyi „Domów Dziecięcych“. Rozwiązuje ona jedno z najboleśniejszych zagadnień w życiu warstw pracujących i zasługuje, by głęboko zastanowiły się nad nią te kobiety, których macierzyńskie uczucie sięgając poza ciasny krąg ich własnego ogniska rodzinnego, radeby objąć całą dziatwę, na bruku wielkomiejskim rosnącą dziko i czasem ginącą marnie.

J. Moszczeńska.

*) Poruszamy, po raz wtóry, tę ważną i zajmującą kwestyę, o której w Nr.Nr. 10 i 11, mówiła na łamach naszego pisma J. Warnkówna, bo warta ona bacznej uwagi. *r.*

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

BARBARA TRYŹNIANKA.

Tomek spojrzał prosto w oczy Szura i rzekł:

— Niech pan się w ten romans nie awanturuje. Dziewczyna jest głupia i łatwo jej pan głowę zawróci — ale co z tego! Panny z naszej klasy dostaje się przez kościół — a chyba pan rozumie, że to nie żona dla pana.

— Dlaczego? — spytał Szur nieśmiało.

— Dlatego, że ją wydadzą za „partyę“, którą jej starzy obmyślą.

— Ale ona może mieć swą wolę i i i...

— Nie szukaj pan wyrazów. Ona nie ma woli — i pójdzie w pierwszym karnawale za tego — którego jej wmówią — i zakocha się w nim na obstalunek. Mówię to panu szczerze i otwarcie — przez wdzięczność, że mnie pan nauczył grać w bilard.

Szur spuścił głowę i brwi zmarszczył.

— Wolałbym inny dowód nie wdzięczności, ale życzliwości pana. I równie szczerze odpowiem, że postanowiłem zdobyć pana siostrę, a my mamy łby uparte. Jadę dla ostatecznych egzaminów—i wrócę na Nowy Rok. Przecie do tego czasu nie wyjdzie za mąż? Ona jest jeszcze tak młoda — prawie dziecko!

Tomek popatrzał nań i parsknął śmiechem.

— Ki dyabeł! Czy pan naprawdę rozkochał się w tej kozie!

— Pan nie może być sędzią w tej sprawie.

— Racya. Rozumiem, że można zakochać się w czemś — w muzyce, naturze, morzu, górach, psach, koniach, polowaniu — ale zakochać się w kimś — do tego stopnia, żeby aż dla zdobycia poświęcić największy skarb — swobodę, nie — tego nie zrozumiem nigdy. Zatem — basta — nie mamy co więcej o tem mówić. Dobrze — będę jutro u pana i przyniosę skrzypce.

Obietnica ta przypomniała Tomkowi instrument, który rzucił do szafy — i nie tknął od przyjazdu z Zagajów. Wieczorem je wydobył, struny naciągnął i spróbowawszy — już się rozochocił i rozegrał na dobre.

Na muzykę zjawiła się Terka.

— Tomek — nie graj — bo mama płacze! — szepnęła.

— Także osobliwość. Ona codzień płacze.

— Ale dziś specyalnie smutna — bo jutro Zagaje na licytacyi. Pójdziemy jutro z mamą na mszę, na tę intencyę!

— Bardzo to Pana Boga obchodzi— i pewnie tem specyalnie zajęty. A stary gdzie? Pojechał tam?

— Nie — ojciec mówił, że nie mógłby przy tem być! Toć straszne—pomyśl!

— Miałbym też o czem myśleć! Sprzedadzą, to starzy będą mieli pieniądze. Ale — dobrze, żeś mi się napatoczyła. Co to za randki urządzasz z Szurem?

— Ja! — skoczyła Terka i sponsowiała. Wszystkiego raz go spotkałam.

— Bajesz wcale nieźle! Ja to zaraz matce powiem, żeby jej myśl od Zagajów oderwać.

— Co powiesz! Wymyślisz, nakłamiesz — co możesz wiedzieć! Skąd? A zresztą jakbym i spotkała — to co złego? Pan August — twój znajomy — u ciebie go poznałam.

— Oho — już: pan August. No — a korepetytor ten z lata — a Strażyc. Coś tych szwagrów zawiele!

— Mój Tomeczku! Czy ci pan August co mówił? Mój złoty — powiedz?

— Pytał — czy ty już umiesz cztery działania, i czy wiesz, kiedy się urodził Kadłubek.

— Ty, obrzydliwcze!

Porwała go całą garścią za włosy, a potem przygarnęła się raptem do niego i wybuchła głośnym płaczem.

— To co znowu. Od starej się zaraziłaś! burknął, ale gdy chlipała dalej — wziął ją na kolana, niezgrabnie po głowie pogłaskał — i umilkł. Nie umiał mówić, jeśli nie szydził.

A dziewczynka objęła go rękoma za szyję i poczęła się żalić.

— Ja taka nieszczęśliwa — tak mi nudno — tak smutno — taka jestem sama. Tak mi tutaj źle, i do Zagajów już nie wrócimy—i żywej duszy tu niema, żeby przemówić — żeby o mnie pomyślał kto! Mama tylko nudzi o zdrowie, ojciec wiecznie zajęty, Deniska gderze, jak małe dziecko— ciebie nigdy niema i ty drwisz — nie zagadasz po ludzku! Mój Boże, ja bym chciała umrzeć!

— Nie mazgaj się, mała. Co ci za bieda. No, dobrze, już dobrze — obiecuję zaprowadzić cię do teatru, albo gdzie ci się zachce.

— I powiedz naprawdę! Mój złoty! Pan August nie drwił ze mnie?

— No, nie drwił — ale co cię on tak obchodzi? Jutro wyjeżdża i pewnie się więcej w życiu nie spotkacie.

— Za pół roku wróci, i błagał mnie, żebym mu obiecała, że pójdę za niego.

—Na to jeszcze będzie czas. Teraz zajmij się czem. W przyszłym tygodniu lekcye się zaczną — nie będziesz się tak nudzić.

— Ale ty będziesz dobry dla mnie? Prawda?

— No, będę, będę. Ale mi nie spazmuj.

— Ach, żeby ten jutrzejszy dzień minął. Mama mówi, że jak Zagaje przejdą na Władka, będziemy mogli tam jeździć i przesiadywać. Mój Boże, jak mi za domem tęskno!

— A gotowaś iść za mąż — za tego młynarza. Przecie czy tak, czy owak — w Zagajach wiekować nie będziesz — więc nie desperuj!

— Tak ci się to lekko zdaje — bo wcale w domu nie bywasz. Żebyś wiedział, jak rodzice się niepokoją — w jakim są strachu!

— Durnie są!

(d. c. n.).

Po skończeniu szkół.

„Ostatni z Siekierzyńskich". Co robi młodzież kończąca zakłady naukowe? Posady w Galicyi i u nas. Jak poradziły sobie Amerykanki. Miss Ellot kandydatka do katedry profesorskiej zakłada piekarnię. Artystyczne reprodukcye prowadzone przez amerykanki. Warszawianka — zakłada fototypię. Kwiaty sprowadzone. Oprawa książek.

W społeczeństwie polskiem tuła się jeszcze sporo przeżytków i życiem nie usprawiedliwionych przesądów, które tkwiąc uparcie w psychice narodowej, opóźniają nasz rozwój normalny i pozwalają na rozpanoszenie się obcych żywiołów.

Dotąd jeszcze, pomimo tylu smutnych doświadczeń, są zajęcia, które uważane są za niegodne ludzi stojących już na pewnym kulturalnym poziomie. Minęły wprawdzie czasy, kiedy „ostatni z Siekierzyńskich" odsądzony był od czci szlacheckiej, za poniżenie się handlem, dzisiejsze jednak chwile, które przyniosły z sobą pewną rewizyę stosunków, wykazały, jak wiele zyskownych placówek pozwoliliśmy sobie odebrać.

Wiemy już, że nikt nam nie pomoże, jeśli nie pomożemy sami sobie, więc bez straty czasu należy naprawiać to, co się zaniedbało.

O ile do ogólnego dorobku pracy przyczyniają się nasze kobiety?

Rokrocznie szkoły średnie i wyższe rzucają tysiące naszych dziewcząt w odmęt walki o byt. Stosunki ekonomiczne są coraz trudniejsze, ruch w kierunku równouprawnienia coraz popycha dziewczęta do pracy. Biorą się więc ochoczo nasze panny do różnych zajęć, ale przeważnie są to tylko „posady", mniej lub więcej płatne; niema tam miejsca na jakąkolwiek inicyatywę twórczą, przedsiębiorczą rzutkość.

Jest to prawie to samo, co widzimy wśród młodzieży męskiej w Galicyi: uczą się, zabiegają o dyplom uniwersytecki nieraz o głodzie i chłodzie, i na to ten cały wysiłek, aby stać się, po latach, jednem z bezmyślnych kółek machiny biurokratycznej.

Gdy obejrzeliśmy się wokoło siebie, otrzeźwieni hasłem „swój do swego", ujrzeliśmy legiony kobiet i mężczyzn tylko „na posadach". O jakiejkolwiek inicyatywie w handlu i przemyśle mowy niema.

Pomysłowe i dzielne kobiety amerykańskie, obdarzone przytem wybitnym instynktem społecznym, zdecydowały, że gdy będą tworzyć nowe placówki przemysłowe, zyskają nietylko źródło zarobkowe, ale przyczynią się swoją inteligencyą do udoskonalenia pracy fizycznej, a także ideowo do zmniejszenia tej przepaści, która dzieliła dotąd pracownika - mózgowca od wyrobnika i robotnika.

Pisma codzienne zawiadomiły niedawno o całym szeregu przedsiębiorstw, utworzonych przez inteligentne amerykanki, — czy moglibyśmy choć skromną liczbę podobnych u nas wyliczyć?

Zacznijmy od „chleba naszego powszedniego".

W Massachusets, w amerykańskiem Cambridge, kandydatka do katedry profesorskiej, miss Stewenson, wziąwszy sobie do pomocy uczoną chemiczkę, miss Eliot, założyła udoskonaloną piekarnię, i to nietylko zarządzała nią, dyrygując pracą, ale przez kilka miesięcy, wraz ze swoją towarzyszką, wykonywała najcięższe roboty i wyćwiczyła cały zastęp wykwalifikowanych odpowiednio piekarek.

Rozumowała w ten sposób: „gdy poprawię za pomocą mojej wiedzy chemicznej wypiek chleba, dostarczę za jego pomocą pierwiastków odżywczych pracującej ludności, przyczynię się do pomyślności mojej ojczyzny".

A czy sądzicie, że wraz z fartuchem piekarskim pozbyła się swoich estetycznych i kulturalnych upodobań? W najmniejszej mierze ich nie zaniedbała, tylko przeniosła

je na grunt, który się dotąd bez nich obywał.

Ozdobiła ściany swojej piekarni artystycznemi freskami, poumieszczała napisy, wzięte z dzieł uczonych, o dostojności pracy — a wreszcie wprowadziła do przedsiębiorstwa największy zbytek, jakim jest nieposzlakowana czystość i przestrzeganie zasad hygieny.

Znane są nam braki w zakresie ilustracyjnym. Gdy chodzi o wykonanie artystycznej planszy, wysyłać ją trzeba za granicę, do Lipska lub do Pragi czeskiej, — tamtejsze zakłady Husnika dostarczają swych prac naszym wydawnictwom, szczególniej gdy chodzi o barwną reprodukcyę.

Na wystawie pracy kobiety polskiej w Pradze czeskiej musiałyśmy w dziale szkolnym wystawić podobizny naszych bohaterów w czeskiem odbiciu.

Otóż w Ameryce dwie panny Allen podjęły odrębny rodzaj przemysłu, a mianowicie dostarczenie pismom ilustracyi za pomocą zdjęć fotograficznych, co robią w ten sposób:

Nakładcy powieści i romansów nadsyłają im utwory przeznaczone do druku; po przeczytaniu ich panny Allen wyszukują odpowiednich sytuacyi do odtworzenia w naturze, gromadzą osoby, które grupują, fotografują i następnie w swojej fototypii podobizny ich odbijają.

Ilustracye te, z powodu włożonej w nie znacznej kultury naukowej, są niezmiernie poszukiwane. Z przyjemnością zaznaczyć możemy, że w Warszawie córka jednego z najbardziej znanych lekarzy, odbyła za granicą specyalne studya i zakłada fototypię na wzór zakładów Husnika. Będzie to prawie pierwsze zerwanie z szablonem dotychczasowej panieńskiej pracy.

Szukam w pamięci, czy nie mamy jakiej już dziś znakomitej specyalistki-ogrodniczki, którąby potrafiła prowadzić hodowlę rzadkich roślin.

Zalani jesteśmy powodzią kwiatów z Riviery, mamy też wielu bardzo dobrych, a nawet pomysłowych ogrodników — zdaje mi się jednak, że ogrodniczki — wytwórczyni ani jednej, prócz naturalnie pań ziemianek, które przy pomocy ogrodników prowadzą własne ogrody dla przyjemności. W Bostonie tymczasem jedna za znanych autorek prowadzi hodowlę żonkilów na wielką skalę, co nie przeszkadza jej podobno tworzyć bardzo zajmujących powieści. Druga znów inteligentka, jakiej specyalności, nie pomnę, poświęciła się hodowaniu fiołków, mając zapewniony zbyt hurtowny i detaliczny.

Współzawodniczyć z amerykankami możemy jedynie na polu introligatorstwa, koronkarstwa i w małym zakresie sztuki kulinarnej.

Artystyczne oprawy książek robi u nas p. Lorentowiczowa; p. Dębicka założyła pracownię introligatorską wnosi do niej wysoką kulturę artystyczną i pomysłowość; koronkarstwo szkolne prowadzi p. Wereszczakowa, używając często swojskich motywów do wzorów; w kucharstwie i przyrządzaniu przetworów owocowych przodują pp.: Henikowska i Norkowska; amerykanki jednak biorą sprawę trochę szerzej — zakładają szkoły gotowania przy fabrykach dla robotnic, ucząc je zarazem i prowadzenia rachunków odomowych; tworzą praktyczne kursy przy settlementach, oddających, jak wiadomo, takie poważne usługi robotniczej ludności amerykańskiej.

Przekształca się zupełnie nasze życie, uprzemysłowienie wkracza nawet do dawnych patryarchalnych stosunków wiejskich, wre intensywna praca wytwórcza w miastach, potęgowana tysiącem nowych odkryć i wynalazków. Niema pracy tak drobnej i tak pospolitej, w którą nie możnaby było tchnąć szerokiego rozmachu, zdolnego przetworzyć i zmienić dotychczasowe stosunki. Kobiecie w tym ruchu przypada olbrzymi dział — byle go tylko podjąć umiejętnie i żywo.

Młode, dorastające pokolenie szczególniej, któremu losy dały możność zaczerpnięcia szerszej wiedzy, powinno ją zaprządz do tego koła obrotowego wielkiej maszyny, która wytwarza bogactwa, tworząc zarazem nowe, kulturalne życie. *J. W.*

Kobieta na placu boju.

Młody dziennikarz francuski, p. Jean Leune, ożeniony z greczynką, udał się na teren wojny bałkańskiej, jako wysłannik francuskiego tygodnika „Illustration“.

Towarzyszyła mu wszędzie żona. Mąż opisywał epizody wojenne, chwytając je równocześnie aparatem migawkowym, żona zaś poświęcała się pielęgnowaniu rannych. Wśród świstu kul ukazywała się ona na polu bitwy, pochylając się nad rannymi, wysłuchując ostatnich życzeń umierających, niosąc im łagodne słowo pociechy. W chwili, gdy zawierucha ogarnęła także i inne, dotąd neutralne narody, jak Rumunów i Greków, małżonkowie Leune schronili się pod opiekę armii greckiej, z nią odbywając marsze i pochody Pani Letta dostała przydomek „chrześniaczki armii“.

Podajemy fragmenty z jej zapisek z dni walki i niepokoju. Są one zabarwione sympatyą dla greków, ale coprawda, bułgarowie nie umieli się utrzymać na wysokim poziomie, na jakim postawiły ich niedawne zwycięstwa, wpadli w dezorganizacyę, posuwając się do najdzikszych okrucieństw. Interesujące szczegóły znajdziemy w bezpretensyonalnym, a jednak żywym opisie szlachetnej samarytanki.

Dn. 4-go lipca. Opuszczamy Balze o 7-ej rano. Oddano nam do dyspozycyi dwóch żołnierzy i dwa konie — upał straszny. Przebiegamy pola i wioski. Droga cała jest zasłana trupami; zczerniałe twarze, zniekształcone postacie. Dreszcz mnie przejmuje, nikt jednak na to nie zważa.

Zbliżam się do jednego z rannych, a ten szepcze: „umrzeć czy cierpieć, wszystko jedno, byle zwyciężyć“.

Żołnierze zagubili drogę; wskazuje nam ją sprytny grek i ten mnie pyta: „Czem jest twój mąż? co robi“? „Patrzy na tych, co się biją, odpowiadam, chwyta prawdę i stawia ją oczom Europy“.

„Co, ukazać prawdę? — pyta, a czy widziałaś kiedy psy i koty, jak warczą i patrzą nienawistnie na siebie,—to są opinie Europy. Daremnie czas traci twój mąż. Kto chce pchać swoje interesy, ten nie ogląda się na prawdę“.

I zaczyna politykować. „To Austrya wszystkiemu winna. Chciała mieć Saloniki, a tu wojna dała je Grecyi. Bułgarski niedźwiedź ocknął się zapóźno; gdy gryzł swoje jarzmo z wściekłością, Austrya patrzyła przez monokl i podjęła zadanie: podbudzić wściekłość Bułgarów i rzucić ich potem na Greków“.

Oto przewożą amunicyę, wojsko się tłoczy, a tam w oddali grzmią działa. Jeden z oficerów zatrzymuje naszą małą karawanę i zapytuje: „Czy pani ma pozwolenie do krążenia tak wśród niebezpieczeństw? — kule świszczą wokoło — strzeż się, pani“.

Wtem artylerya się zbliża, sami starzy znajomi, towarzysze wspólnie spędzonych, ciężkich chwil.—„Pani Leune!—wołają, — co za radość; oto koniak i woda, nie mamy pani nic więcej do ofiarowania, bijemy się całe trzy dni, a wtedy nie myśli się o jedzeniu“.

Śmieją się wesoło, tym śmiechem, poza którym czai się śmierć.

Przed nami suną dwie kolumny: to armia grecka zbliża się już do armii bułgarskiej; zaczynają się bić na bagnety; przez chwil kilka padają trupy, potem wzbija się w górę tuman kurzu, to — odwrót Bułgarów; telegram polny szybko roznosi wieść o zwycięstwie Greków.

Zaczynają się posuwać konwoje rannych; co chwila ukazują się nosze, a złożeni na nich żołnierze zwracają się do mnie z uśmiechem: „Widzi pani, uciekli przed nami; zachciało im się Salonik, ale niedoczekanie ich...“

Pochylam się nad rannym, aby mu przewiązać ranę. „Czy cierpisz bardzo?“ pytam. „Bynajmniej“, odpowiada, „zwycięstwo to rzecz główna“.

Wszyscy zmieszani razem, jednego z rannych niosą Turcy; zdjęli z siebie barwne, flanelowe płaszcze i podesłali mu pod głowę; idą cicho, ostrożnie, bojąc się urazić cierpiącego. Któżby był powiedział jeszcze miesiąc temu, że Grecy i Turcy pogodzą się we wspólnej walce przeciwko Bułgarom.

Drugie nosze — spoczywa już na nich sztywniejąca postać zmarłego; pochylam się, żeby na jego ręce złożyć pocałunek. „Miał dopiero 27 lat“, mówi mi oficer, „znał 7 języków, chlubnie skończył nauki w Paryżu, walczył we wszystkich bitwach,

jak bohater, tego rana śpiewał jeszcze narodowe, greckie pieśni, ciężko już ranny nie dał się ratować. „Idźcie walczyć, a mnie zostawcie mojemu losowi“, wołał.

„Pomściliśmy go srodze, zaręczam pani“. Oczy żołnierza przy tych słowach pełne były łez...

Dnia 7-go lipca.

Olbrzymie pole cierpienia. Padli tam setkami waleczni rycerze Grecyi. A jednak dzienniki piszą, że w tej wojnie niema nic wielkiego!

Jakże są strasznie wszyscy poranieni; starego systemu broń bułgarska sprawia okropne spustoszenia: porozrywane ciała, zmiażdżone twarze, — leży ich tam na polu bitwy pod Kirkilisse 1500. Towarzyszę naczelnemu lekarzowi, biegamy tu i tam wśród strasznego pola, aż naraz słyszę, jak ten człowiek wielkiego serca śpiewa:

Co to jest? Śpiew w takiej chwili!

Lecz oto ranni drżącym głosem zaczynają mu wtórować, wzbija się pieśń: „Kesti Sofia“.

Duszę się do łez; heroizm i ból podały sobie ręce; w takiej chwili tylko uklęknąć i modlić się... Składamy męczenników na nosze, uśmiechają się do mnie. „Czy masz rodzinę“, pytam jednego z nich. „Któż o tem myśli teraz“, odpowiada. „Cieszysz się zwycięstwem“? pytam dalej. Przymknięte dotąd oczy zaczynają błyszczeć, rysy się ożywiają, z uciśnionej piersi wydobywa się okrzyk radosny...

Zaczynam sądzić, że nie ma uczucia na ziemi, nad którem miłość ojczyzny nie potrafiłaby zapanować.

Idę do majora drugiej dywizyi, zapomniałam bowiem dodać, że owych 1500 zmarłych i rannych należy tylko do jednej dywizyi; powracamy razem na plac bitwy.

Co za obfite żniwo śmierci! Grecy drogo zapłacili za zwycięstwo. Tuż przedemną leży młody żołnierz, martwe jego ręce w przedśmiertnym skurczu zacisnęły kartę pocztową z jego własną fotografią; czytam napisane na niej słowa: „Umrzeć dla Ojczyzny to szczęście“! — a potem dopisek: „Proszę przesłać po mojej śmierci mojej matce, adres Marya Stawron w Th...“ Nie danem mu było dokończyć adresu... zginął z imieniem matki i ojczyzny na ustach.

Ach prawda! tuż obok znajduję jeszcze fotografię młodej dziewczyny, narzeczonej prawdopodobnie, z napisem tej samej ręki: dla ojczyzny — tracę ciebie...

Streściła *I. W. Kosmowska.*

Z mądrości wschodu.

(z perskiego).

Szkoda trudu, szkoda ziarna,
nie wyrosną tulipany,
jeśli ziemia nie jest czarna,
szkoda trudu, szkoda ziarna...
Każda praca będzie marna
tam, gdzie grunt jest niezorany —
szkoda trudu, szkoda ziarna,
nie wyrosną tulipany.

Remigiusz Kwiatkowski.

RUCH TEATRALNY.

w sezonie 1912—1913.

—

TEATR POLSKI.

W dziejach sceny polskiej fakt powstania w Warszawie teatru nowego, w nowym gmachu, teatru prowadzonego poważnie, postawionego na wyższym poziomie artystycznym, ma znaczenie pierwszorzędne. Stwarza on nowe ognisko twórcze, decyduje o korzystnym przyroście sił, pomnażających estetyczną kulturę.

Zadaniem Teatrów Rządowych, jako pierwszej sceny polskiej, jest utrzymanie tradycyi sztuki wykonawczej i rozwoju repertuaru oryginalnego. Współrzędnie z tem teatr prywatny, dobrze zorganizowany, może rozwinąć działalność eksperymentatorską, oprzeć się na repertuarze bardziej wszechstronnym, przyswajać najnowsze zdobycze techniki i pomysły inscenizacyi.

W naszych warunkach Teatr Polski ma tę niezaprzeczoną zasługę, że podjął naseryo i podniósł tak ważną sprawę inicyatywy i rozwoju sceny prywatnej sprawę dyskredytowaną dotąd przez dyletantyzm albo partactwo.

Nowy budynek, który powstał dzięki energicznym zabiegom dyr. Schifmana, skutecznie popartym przez Komitet finansistów, budynek położony w miejscowości, którą wybrano nienajszczęśliwiej, — odpowiada jednak wymaganiom estetyki i nowożytnego komfortu. Wchodząc do Sali Teatru Polskiego, czujemy, że jesteśmy naprawdę w Europie, a nie w zatęchłym partykularzu.

Stworzono dla działalności sceny nową podstawę, nowe ramy, które odrazu musiały zdecydować o nastroju repertuaru. Piękna sala widzów, scena obszerna, przy wprowadzeniu najnowszych urządzeń technicznych (podłogi obrotowej), widocznie nadaje się najlepiej do wystawiania sztuk większych, które potrzebują wystawy i ram szerokich. Słabiej wychodzą tam utwory współczesne, oparte na charakterystyce realnej albo subtelnych półtonach.

Rozpoczęto przedstawienia „Irydionem“ Krasińskiego, przystosowanym do ram scenicznych. Był to początek w prawdziwie wielkim stylu, hołd oddany nieśmiertelnej poezyi. „Irydiona“ miała podobno wystawić scena rządowa, ale tam Krasiński musiał ustąpić... Rostandowi.

Pomimo sceptycznych przepowiedni, wielki poemat, pozornie niesceniczny, miał długi szereg przedstawień i dał publiczności warszawskiej szereg wrażeń głębokich, podnoszących ducha, uszlachetniających zamiłowania estetyczne. Bardzo u nas potrzeba takich wrażeń, dla uzdrowienia gustów publiczności, zdeprawowanych przez specyalnie warszawski kult operetki.

Można krytycznie oceniać opracowanie tekstu „Irydiona“, wadliwą reżyseryę niektórych obrazów i pojęcie artystyczne całości, któremu brak było wielkiego, monumentalnego stylu. Ale kilka obrazów i momentów poematu dało widzom i słuchaczom piękne wizye, podniesione przez wspaniałość, artyzm i przepych dekoracyi. Rzym Cezarów, szalejący w konwulsyach rozkładu, zmartwychwstawał chwilami z łudzącą plastyką i przepychem.

Drugą nowością była czteroaktowa satyra Adolfa Nowaczyńskiego „Nowe Ateny“, teatralnie chybiona, ale jako fenomen literacki bardzo interesująca. Autor, w duchu głoszonych przez siebie haseł neopozytywnych, skierował mocne satyryczne ciosy przeciw nastrojowi duchowemu Krakowa i społeczeństwa polskiego w Galicyi Zachodniej. Potępił humanizm, rutynę szkolną, biurokracyę i stęchliznę obyczajową — potępił brak przedsiębiorczości ekonomicznej, zaniedbanie materyalnej strony życia, z czego korzystają żywioły obce i napływowe. Utyskiwał słusznie, że na prastarej polskiej ziemi rozsiadają się niemcy, eksploatują bogactwa gruntu, wykopują zagłębia górnicze, gdy polacy nie umieją rozwinąć energicznej i produkcyjnej działalności przemysłowo - ekonomicznej. Satyra, jak zwykle u p. Nowaczyńskiego, mocna i piekąca, łączy się tu z publicznem kaznodziejstwem. Satyrykowi, który chce karcić lub ośmieszać ułomności życia, wolno być jednostronnym, wolno mu skoncentrować w swym obrazie cienie i rysy ujemne. Gdy jednak grzeszy jednostronnością socyolog i nauczyciel narodu, należy mu powiedzieć otwarcie, że przygana powinna być natchniona miłością, że należy ostrzegać, a nie drażnić i pognębiać, że karcąc wady, nie trzeba zamykać oczu na żywotne i dodatnie strony pracy i rozwoju polskiego społeczeństwa w Galicyi. Z obranego tematu autor mógł stworzyć dzieło prawdziwie dramatyczne, ale, jak zwykle, nie dbał o konstrukcyę, o spoistość kompozycyi, przeładował, zwłaszcza drugą połowę sztuki, teoretyczną, rozciągłą gadaniną. Pomimo doskonałego wykonania, prawdziwie fachowej reżyseryi i świetnej wystawy, sztuka w pierwszym akcie, zapowiadająca się bardzo dobrze, stała się rozwlekłą i nużącą. Ale jej pomysł i naczelna idea pobudziły do wymiany zdań, do żywej dyskusyi.

Twórczość poetycka świeciła swój tryumf w „Lilijach“, 4-aktowym dramacie H. Morstina, wysnutym z ballady Mickiewicza. Utwór ten należy pod względem językowym do formacyi Wyspiańskiego, chociaż autor pisze językiem i wierszem daleko wytworniejszym i artystyczniej wykończonym, aniżeli genialny skądinąd twórca „Wesela“. Na tle legendowem piastowskiem rozgrywa się tu konflikt namiętności z nakazami etyki, zmaganie się człowieka pierwotnego z ładem i grozą kary bożej. Obok literackich przymiotów, dramat w scenach głównych podbił słuchaczy siłą żywiołową. Pomimo wątłości akcyi, słabnącej zwłaszcza w akcie III, pomimo widocznego naśladownictwa i niedostatecznego opanowania techniki—„Lilije“ są płodem talentu, mają ułudny czar bajkowy. W ostatnim akcie poeta łącznie z dekoratorem dali piękną fantastyczną wizyę grobu, chłonącego zbrodnie człowiecze.

Widoczną pomyłką repertuarową było wystawienie komedyi Z. Kaweckiego „Trójprzymierze“, w której autor sytuacyę trójkąta małżeńskiego przedstawił z cyniczną pobłażliwością. Upadek tej pospolicie i brudno pomyślanej sztuki, którą skarciła słusznie krytyka, jest dowodem, na jakie bezdroża może zejść nawet talent — (ongi widoczny w „Dramacie Kaliny“), je-

żeli brak mu literackiej kultury i szlachętnych aspiracyj.

Z repertuaru obcego największe powodzenie artystyczne osiągnęła „Gromiwoja“ Arystofanesa, ma się rozumieć, oczyszczona z dowcipów plugawych, na jakie w duchu współczesnego smaku pozwalał sobie genialny potwarca Sokratesa.

Rzecz naturalna, że Teatr Polski z wyłuszczonych wyżej powodów nie mógł uprawiać przeważnie repertuaru oryginalnego, ale musiał się oprzeć na dziełach, nadających się do stylu bardziej dekoracyjnego. Pod tym względem dyrekcya rozwinęła wielką staranność i pomysłowość, zawdzięczając je przeważnie pomysłom kompozycyjnym p. Frycza i biegłości wykonawczej p. Drabika. Należy jednak ostrzedz kierowników teatru, aby nie wpadli w przesadę i nie rozłakomiali widzów na efekty świetnej wystawy. Malowniczość zewnętrzną nie powinna nigdy przesłaniać ani gasić treści wewnętrznej. W teatrze pojętym poważnie i głęboko zawsze prym trzymać winno piękne słowo i twórcza gra aktorska, oddająca nieśmiertelną treść duszy ludzkiej.

Leliwa.

Odgłosy prasy.

Kto powinien z obczyzny wracać do kraju?

Tę sprawę podjął w Nr. 244 z r. b. „Kuryer Warszawski“ w artykule wstępnym, wywołanym przez korespondencye z Moskwy i Libawy — drukowane w naszem piśmie.

W kilku zasadniczych uwagach autor wskazuje na przyczyny ekonomiczne i handlowe, wywołujące emigracyę i ruch wysiedleńczy, które się wzmogły w całym świecie, z powodu ulepszenia komunikacyi. Chociaż każdy dobry polak powinien utrzymywać duchową łączność z krajem i popierać pracę społeczną w naszych trudnych warunkach — jednakże „czyż może być pewnym wracając do kraju każdy osiedleniec, że znajdzie odpowiednie dla siebie pole zarobkowania i działalności?“

„Czy wszystkie ptaki wędrowne będą mogły na gałęziach drzew ojczystych usłać swoje gniazda?“.

Autor artykułu „Na obczyźnie“ słusznie wskazuje te wypadki i położenia, w których powrót do kraju byłby połączony z ruiną bytu skromnych pracowników albo ich rodzin — z upadkiem przedsiębiorstw, zatrudniających siły polskie.

Następnie z własnego doświadczenia i obserwacyi stwierdza autor, że w większych koloniach polskich w Berlinie, Petersburgu i Moskwie najlepsza część wysiedleńców ożywiona jest duchem narodowym i tęskni za krajem. W duchu przepięknej litanii, pomieszczonej na końcu „Ksiąg pielgrzymstwa“ Mickiewicza, stawia przykazanie powrotu, jako pierwszy artykuł wiary tułaczów polskich.

Potwierdzając zasadniczą opinię naszych korespondentek, pisze „Kuryer Warszawski“:

„Tak jest, kto *tylko może* — powinien powrócić do kraju“.

„Szczególnie ci, którym poszczęściło się na obczyźnie. Zebrawszy zyski swej pracy, niech ze zdobytym majątkiem lub oszczędzonym zasobem wracają dla rozpoczęcia nowej pracy, albo dla zasłużonego wypoczynku. Chodzi o to, aby jak najmniej grosza, zdobytego przez polską pracę, energię i pomysłowość, wsiąkało w obce kieszenie.

Kto może na obczyźnie zlikwidować jako-tako interesy, nawet sprzedać posiadłości nieruchome, niech przyjeżdża do nas, niech wykupuje z rąk obcych majątki i kamienice w Królestwie i Galicyi, w Warszawie, Krakowie i innych miastach polskich. Finansiści polscy, którzy w Rosyi zrobili dobre interesy, niech wracają do kraju, zakładają nowe banki, spółki i stowarzyszenia współdzielcze. Niech powstaną banki pożyczkowe, ułatwiające nabywanie ziemi wieśniakom i wykupywanie gruntów z rąk kolonistów niemieckich, którzy się rozsiadają ławą, jako awangarda zdobywczego *Drang nach Osten!*

Pożądanem byłoby wytworzenie wśród większych kolonii polskich stowarzyszeń i biur informacyjnych, utrzymujących łączność z krajem.

W Moskwie zakłada teraz p. Remigiusz Kwiatkowski, zdolny oryentalista, poeta i literat, czasopismo *Promień*, którego zadaniem będzie zogniskować duchowe życie i skojarzyć rozproszone rzesze polskie w Cesarstwie i na Wschodzie. Zamiarowi temu można tylko przyklasnąć. Niechże to pismo pracuje dla utrzymania jedności ducha narodowego, popierając także działania i dążności, które dla spragnionych tułaczów, jak ongi dla towarzyszów odyssejowych, przyśpieszą wielki „dzień powrotu“ na łono wspólnej macierzy.

Jastrzębiec.

Projekt służby wojskowej dla kobiet.

Studentka uniwersytetu paryskiego, panna Fischer, córka profesora, rozpoczęła agitacyę wśród swych rówieśniczek za służbą wojskową kobiet, stawiając, jako tezę, że zarówno bogate, jak ubogie panny, w wieku, gdy czekają na męża, chętnie zgodzić się winny na dwuletnią służbę dla ojczyzny, która dla nich stanowić będzie jedynie miłą rozmaitość w szarzyźnie życia. Projekt zyskał ogólny poklask i niedługo zredagowano petycyę do rządu, na której w krótkim przeciągu czasu znalazło się 12000 podpisów — o umożliwienie służby wojskowej dla kobiet.

Petycyę tę wręczył poseł Driant prezesowi ministrów, a ten ministrowi wojny. Oryginalny projekt oświadcza się za dwuletnią służbą kobiet w wieku od 18 do 20 roku życia. Oddziały kobiece mają być wrazie wojny użyte do służby wewnętrznej kraju, na ochotnika — w linii bojowej.

Jaki będzie los projektu, dziś przewidzieć się nie da. Obok zwolenniczek wytworzył się już zastęp poważnych przeciwników, zwalczających go w imię obawy o moralność nowych zastępów wojennych.

H. D.



PĄTNIK ANIELSKI.

Rymy duchowe Anioła Ślązaka (Jana Szefflera, 1624 — 1677). Wybrał i przełożył *Józef Jankowski* *).

MĄDROŚĆ JEST ŹRÓDŁEM.

Mądrość jest źródłem żywem: im bardziej czerpiesz z niega,
Tem silniej ci wytryska, tem żywiej wody biegą.

NIE STÓJ W MIEJSCU.

Człecze, gdyś zdobył trochę, nie stawaj pośród miedz:
Od światła masz do światła bez odpoczynku biedz.

ZWIERCIADŁO.

Zwierciadło ukazuje zewnętrzne ci oblicze,
By mogło ci i wnętrzne pokazać — tego życzę.

TRUD I SPOCZYNEK BOGA.

Bóg nie zna trudu, nie zna spoczynku: jednem tchnieniem
Spoczynek jest Mu trudem i trud Mu odpocznieniem.

CZŁOWIEK.

Największym cudem człowiek, co snuje życia nić:
On jeden lub szatanem, lub Bogiem może być.

CZŁOWIEK—SKARB NAJPRZEDNIEJSZY.

Po Bogu skarb największy na ziemi: dobra wola, —
Strać wszystko, ona znowu wyzłoci twoje pola.

JAK DALEKA STĄD DROGA DO NIEBA.

Nie myśl, iż drogi w niebo nie sięgnie myśl i wzrok:
Od ziemi stąd do nieba maleńki tylko krok.

Z KIM TU PRZESTAJESZ—TEM SIĘ STAJESZ.

Z kim tu przestajesz, tem się za życia staniesz progiem:
Gdy z dyabłem — będziesz dyabłem, gdy z Bogiem — będziesz bogiem.

HOŁD GRZESZNIKA.

Samolubnego człeka modlitwa i wołanie
Mniej miłe Panu Bogu, niż oto psa szczekanie.

PRZYRODA BOGA.

Miłość — przyrodą Boga, jedynem zatrudnieniem:
Gdy pragniesz Bogiem zostać—ukochaj każdem tchnieniem.

*) Większy wybór ukaże się niedługo w oddzielnem ozdobnem wydaniu nakładem Tow. Art. Wydawn. „Gryf“.



N. 1. Suknia wieczorowa z białej charmeuse.

N. 1a. N. 2. wieczorowa suknia z tiulową tuniką. N. 2a.

N. 3. Biała wieczorowa suknia.

Opisy do N-ru 40-go.

Nr. 1. *Suknia wieczorowa z białej charmeuse ze* wstawkami paciorkowemi i małemi różyczkami jedwabnemi. Zapięcie z tyłu. Spódnica z przodu skośnie krajana; dolna część zmarszczona, przyszyta do gładkiej wierzchniej połowy. Boki upięte na nierównej wysokości, tył zafałdowany i zmarszczony. Wstawka podkreśla „paniers", zakończa wycięcie i tworzy pasek.

Nr. 2. *Wieczorowa suknia z tiulową tuniką.* Spódnica, wycięta na boku, zapina się z tyłu. Głęboko wycięta podszewka stanika z charmeuse, bez rękawów i ramionczek, u góry gładkim a w dole poprzecznie drapowanym tiulem przykrytego; na plecach rękawy tworzą fiszutkę.

Zmarszczona tunika tiulowa w dole dwoma rzędami różyczek obramowana. Duża róża przy pasku.

Nr. 3. *Biała wieczorowa suknia.* Suknia z tyłu zapięta, na jedwabnym spodzie; gęsto namarszczoną spódniczkę tiulową ozdabiają falbanki plisowane, które ku górze zwężają się. Przy wyciętym staniku w formie kimono krzyżuje się z przodu i z tyłu lekko ułożony tiul; stanik prawie całkowicie zakryty fiszutką, zakończoną falbanką; rękawy również zakończone falbanką. Szeroki pasek jedwabny, zakończony z tyłu kokardą z dwoma puklami do góry i długiemi końcami. Suknia bardzo odpowiednia dla młodej panienki na pierwszy wieczór taneczny: jest powiewna, praktycz-

na. Ładnie wygląda także z kolorowego tiulu.

Nr. 4. *Strojna suknia wizytowa.* Spódnica z czarnej charmeuse, tunika z tiulu niebieskiego, przybrana haftem tego samego koloru, obwiedzionym nitką stalową. Tunika podbita jest podwójnym tiulem, cielistym i niebieskim; podszewka stanika z białego jedwabiu, bez rękawów. Pasek aksamitny czarny. Kapelusz atłasowy czarny, miękki; tiulowa falbana naokoło, główka przepasana atłasem; pęk paradisów z tyłu

Nr. 5. *Sukienna tualeta.* Suknia z kortu, koloru loutre; stanik kimonowy z baskiną, podszyty jedwabiem z motywami haftowanemi złotem i sznelką tego koloru, co suknia. Przód z koronki złotej na białej tiulowej podszewce. Naokoło szyi zęby kwadratowe, dziergane, tworzą kołnierz; aksamitka, na której wisi pendentif. Pas udrapowany z tego samego kortu, co suknia. Spódnica udrapowana, z jednego bryta, krajanego wskos, zmarszczona naokoło. Przody zakładane jeden na drugi; u dołu falbana z muślinu loutre.

Nr. 6. *Suknia z zibeline cachemire.* Suknia koloru miedzi, miękka, opadająca gładko. Przód stanika i kawałek spódnicy otwiera się na kamizelce z sukna zahaftowanej sutaszem, zapiętej na guziki. Stanik kimonowy zmarszczony i wyrzucony na pasku z czarnej tafty. Kołnierz szalowy z materyału podwójnego. Falbanki koronkowe Malines przy rękawach. Kapelusz z tiulu czarnego, upiętego na gówce aksamitnej; duże pióra puszyste z przodu.

Nr. 7. *Suknia z charmeuse.* Suknia strojna z charmeuse'y, koloru „vin d'Espagne", przybrana guzikami z tego samego materyału, co suknia. Bluzka kimonowa, bez rękawów, otwarta z przodu; stanik z koronki Malines czarnej, podbitej tiulem cielistego koloru.

Nr. 8 *Sukienka zielona vert-mousse.* Suknia z materyału wełnianego, praktyczna i skromna. Stanik z baskiną nierównej długości z przodu; pasek szeroki układany, z czarnego aksamitu. Kołnierz długi z zielonego aksamitu w deseń.

Nr. 9. *Suknia aksamitna.* Suknia z czarnego aksamitu lub welwetu, bardzo strojna. Stanik kimonowy ufałdowany na ramionach. Karczek z białego tiulu. Po obu stronach przodu trzy rzędy falbanek z tiulu plisowanego: Z przodu haft tworzący kamizelkę, robiony żółtym jedwabiem na niebieskiem tle.

N. 4. Strojna suknia wizytowa. N. 5. Sukienna toaleta. N. 6. Suknia z zibeline cachemire. N. 7. Suknia z charmeuse. N. 8. Suknia zielona. N. 9. Suknia aksamitna. N. 10. Suknia spacerowa.



Plecy do ryc. 4—8.

Nr. 10. *Suknia spacerowa.* Suknia wełniana ciemno - bordo, przybrana aksamitem wytłaczanym. Stanik kimonowy z długiemi rękawami i długą tuniką, robi wrażenie redingoty. Naokoło szyi i z przodu falbanka z tiulu.

Nr. 11. *Suknia wełniana z aksamitną bluzką.* Spódnica gładka, składająca się z trzech brytów. Bluzka kimonowa aksamitna lub welwetowa, zapięta z boku; rękawy długie, wszyte gładko do ramion przydłużonych. Pasek wązki aksamitny.

Nr. 12. *Suknia z lekkiej wełny.* Spódnica z przodu się zapina; u góry nieco sfałdowana, gładka na biodrach; prawy bryt zachodzi nieco na lewy.

Stanik kimonowy, trochę zmarszczony w pasie, wyrzucony na upiętym wysokim pasku. Wstawiony przód, tworzący rodzaj kamizelki, jest zastebnowany przy staniku. Długie rękawy, wszyte gładko do ramion przydłużonych. Mankieciki i kołnierz z batystu zmarszczonego u góry, aby utworzyć główkę. Skromna suknia, ale bardzo zgrabną, może być zrobiona z mousseline de laine i z grubszej wełny.

Nr. 13 i 14. *Suknia jedwabna.* Bardzo elegancka suknia jedwabna służyć może, jako wizytowa, z żakietem formą blouson z adamaszku tego samego koloru, co suknia, ze złocistego - bronzowego repsu.

Spódnica składa się z dwóch brytów; prawy, szerszy, zachodzi na lewy; u dołu dwie fałdy, przytrzymane dwoma guzikami. Spódnica przyszyta do stanika, który się z przodu zapina. Bluzka z tiulu bronzowego na białym tiulu; ranwersy tworzące fiszutkę z tiulu, zakończone tiulową plisowaną falbanką. Kamizelka i mankiety z falbankami z białego tiulu. Kołnierzyk haftowany na batyście z falbanką naokoło. Pasek gładki, jedwabny, spięty klamrą z przodu.

Żakiet kimonowy z długiemi rękawami, lekko zmarszczony w pasie, zapięty z przodu na guziki pasmanteryjne z kwastami. Naokoło żakietu i rękawów futro ciemne.

Nr. 15. Kapelusz z bronzowego aksamitu; naokoło podwójna falbana; kokarda z wstążki morowej.

Nr. 16. Kapelusz czarny aksamitny; brzeg gładki, wązki, z tyłu, nieco podwinięty. Główka zmarszczona, miękka; draperya naokoło, zakończona w dwa duże pukle z boku.

Kronika mody.

W sezonie przejściowym, jakim jest jesień, szkoda sprawiać nowe suknie: można przerabiać, zmieniać tualety letnie i nawet zimowe. Tuniki zawsze modne; z tiulu, z koronki, z gazy, z tafty. Bardzo modne tuniki z koronki creme, udrapowane na czarnych spódnicach atłasowych; lub, odwrotnie, czarna koronkowa tunika na białym tiulu. Na lekkich sukniach z batystu, z Irlande, z haftu ładnie wygląda taki „voilage" z tiulu czarnego, obrębiony dżetem.

—

Kapelusze są zawsze udrapowane i obciągnięte materyałem, przybrane piórami albo tiulem. Aksamitne kapelusze będą bardzo noszone w zimie. Fason mały, przylegający do głowy; z jednej strony rondko podniesione, ale bez rozmachu, tylko gładko przy główce, z drugiej strony prawie niema rondka. Z dużą aigrettą, szykownie wygląda taki kapelusik i ma tę zaletę, że go w domu przerobić można z dużego kapelusza, zatrzymując tylko główkę i kawałeczek rondka.

—

Pasek przy kostyumach tailleur jest bardzo modny: klasyczny kostyum pozwala tylko na bardzo prosty pasek skórzany, z klamrą metalową, skórzaną lub z perłowej masy. Kostyumy lżejsze, fantazyjne, mają paski zachodzące z tyłu i tam raz związane z końcami luźno spuszczonemi. Przy żakiecie blouson ładnie udrapować można szeroki posek, zachodzący na biodra. Dla krótkich stanów jest to bardzo korzystne, ale zanadto przydłuża stan tych, które go mają już długi z natury.

—

Patka z tyłu przy żakietach jest jakby pół-paskiem; powinna być przypiętą ani za wysoko, ani za nizko, i dlatego jest trudną do umieszczenia.

Lina.

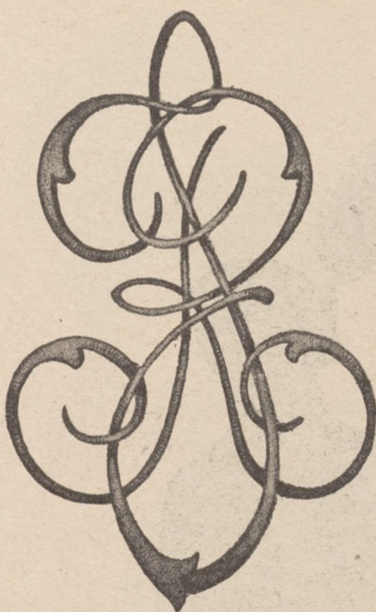


Plecy do ryc. 9—10.



N. 11. Suknia wełnina z aksamitną bluzką.

N. 12. Suknia z lekkiej wełny.





Monogramy.



N. 13. Suknia jedwabna.

N. 14. Blouson do sukni N. 13.

Kapturki wieczorowe.

Mówiliśmy poprzednio o czepeczkach rannych, dawniej tak bardzo noszonych, później, przez długi czas zarzuconych zupełnie. Modne sę obecnie, ale nie są tak praktyczne, jak kapturki, ochraniające ładnie uczesaną głowę od wiatru i zaziębienia. Wieczorowe kapturki mogą być najrozmaitsze: od najprostszych, w rodzaju turbanów, spiętych na jeden duży guzik, do najwykwintniejszych, z mousseline de soie i gazy. Podajemy trzy modele, łatwe do zrobienia w domu, szczególnie Nr. 1 i 2; trzeci jest nieco trudniejszy i wymaga dużej wprawy w szyciu.

Nr. 1 składa się z przepaski długiej na 50 c., szerokiej w środku na 15 cmt. zwężającej się przy uszach, albo zmarszczonej. Przepaska z wierzchu z lekkiego fularu w kwiaty; spód dobrany kolorem do wierzchu, ale gładki; między wierzchem i spodem podkłada się kawałek batystu lub wiktoryi, coś cienkiego i lekkiego. Z tyłu kawałek fularu, przyszyty do przepaski, bez podszewki, u dołu, przy szyi, zmarszczony



N. 15. Kapelusz z bronzowego aksamitu.

N. 16. Kapelusz czarny aksamitny.

na gumce. Na brzegu riuszka z mousseline de soie, tego koloru, co tło fularu; przy uszach duże kokardy z fularu, z pod nich szarfy do wiązania 60 cmt. długości, zakończone frendzlą jedwabną.

Nr. 2 jeszcze łatwiejszy: Z szyfonu jedwabnego na jedwabnej podszewce. Wogóle podszewka musi być jedwabna, aby nie czepiała się włosów i siatki.

Nr. 2 ma z przodu trójkąt, przybrany guzikami; guziki mogą być naszyte tym samym materyałem, albo ozdobne metalowe, srebrne, emaliowe. Z obydwóch stron jest sześć fałd ułożonych, przyczepionych do podszewki; końce fałd krzyżują się z tyłu i zachodzą do przodu, luźno puszczone. Denko kapturka bez podszewki, trochę zmarszczone, wszywa się między ostatnią fałdę i podszewkę. U dołu denko zmarszczone na gumce.

Nr. 3. Odpowiedni dla młodej panienki, jest z mousseline de soie, cały zmarszczony; zmarszczki tworzą pasy, jedne gładkie, drugie z główką. Z przodu falbanka plisowana. Kraje ją się w ten sposób, ażeby listewka materyału stanowiła brzeg, by uni-



N. 1—3. Kapturki wieczorowe.

knąć obrębu. Na pierwszym pasie gładkich zmarszczek przyczepia się gałązkę małych różyczek z materyi.

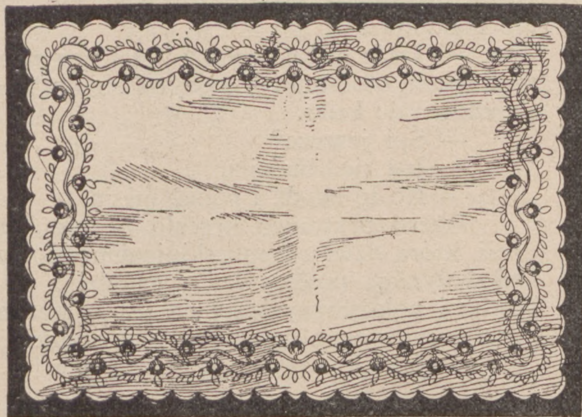
Końce do wiązania są również z muślinu; w połowie długości dwa rzędy zmarszczek z główką; u dołu falbanka plisowana z główką. Z. G.

Roboty ręczne.

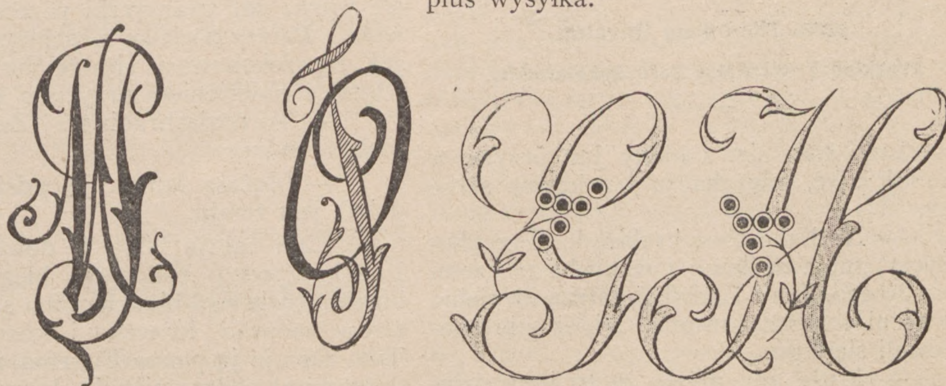
Serwetka na tackę biała płócienna lub z dymki białej; brzeg w zęby dziergane i pączki czerwone, z czarnem środkiem, liście i gałązki zielone. Cena wzoru 1/4 40 k.; na płótnie narysowana, zaczęta, z bawełną zależeć będzie od wielkości.

Poduszka z szarego płótna, w środku pas płócienny żółty, na nim haftowane kwiaty fioletowe, w 2 cienie, obwiedzione ciemno bronzowym brzegiem, gałązki bronzowe, liście zielone w 2 cienie, groszki bronzowe: Kółka po obu brzegach ciemno fioletowe, groszki żółte.

Cena wzoru 70 kop., przygotow. 2.90 plus wysyłka.



Serwetka na tackę. Cena wzoru 40 kop.

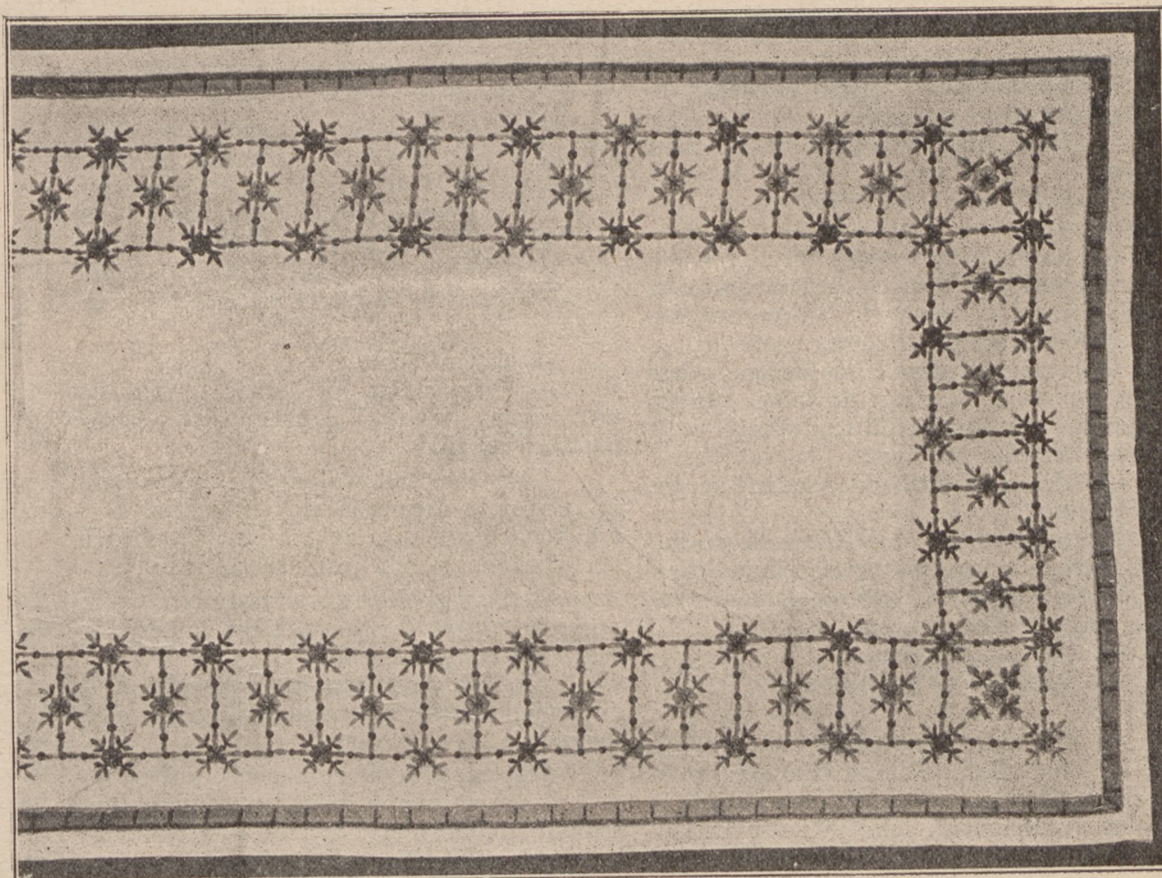


Monogramy i litery na zamówienie.





Poduszka. Cena wzoru 70 kop. zaczęta na płótnie 2.90 kop. plus wysyłka.



Laufer. Cena wzoru 50 kop.

Laufer na duży stół: na białem płótnie haftowany kolorową bawełną, lub na cienkiem „crêpon" kolorową miękką włóczką. W przyszłym numerze opiszemy, w jaki sposób haftuje się włóczką.

Cena wzoru 1/4 wielkości 50 k., cena roboty zaczętej zależna od wielkości i materyału. *Z. G.*



Litery i monogramy na zamówienia.

WYCHOWANKA.

POWIEŚĆ

przez Hieronima Rovetta.

Przekład z włoskiego Zofii Sokołowskiej.

Lulu cofa się, a kiedy Jan przysuwa do niej lalkę, odpycha ją i zakrywa sobie oczy.

— Nie! nie chcę hrabiny!... Precz!— krzyczy, tupie nóżkami i wybucha płaczem.

Roero, Jan i Ludwika patrzą na siebie zdumieni i rozczarowani. Nigdy nie spodziewali się tego.

— Może ona myśli, że to inna dziewczynka i jest o nią zazdrosna — mówi Ludwika.

— Roero traci cierpliwość.

— Ależ to lalka. Kupiłem ją dla ciebie zamiast Titi. Weź ją!

Nic nie pomaga! Lulu odpycha lalkę i krzyczy coraz głośniej.

— Dosyć tego, bo odeślę cię do pani Karoliny.

Groźba tym razem żadnego nie wywiera skutku.

— Jesteś niegrzeczna, nieznośna — woła rozgniewany Roero — zostawmy tu tę brzydką złośnicę, niech się wykrzyczy dowoli... Janie, idę do stołowego pokoju.

Lulu zostaje sama z Ludwiką i odrazu się uspokaja. Patrzy na lalkę, stojącą w rogu kanapy, i mówi do Ludwiki:

— Brzydka hrabina!

— Ależ ona jest bardzo ładna! spójrz na nią tylko.

Dziewczynka zwolna zbliża się do kanapy, patrząc wrogo na piękną panią, która przyjechała powozem z jej opiekunem i zaczyna ganić w niej wszystko.

— Brzydki... kapelusz!

— Bardzo ładny! aksamitny z piórem.

— Brzydkie trzewiczki!

— Ależ nie!... Śliczne lakierki i pończoszki jedwabne... Tyś pewno myślała, że to taka dziewczynka, jak ty? — pyta Ludwika, pieszcząc ją — widzisz, ona nieżywa, nie rusza się... To podarek od pana.

— Brzydki... pan!

Ludwika nie może wstrzymać się od śmiechu.

— Brzydka hrabina! — mruczy Lulu, ale wyraz jej twarzyczki przeczy tym słowom. Patrzy na lalkę z zachwytem, dotyka jej, i przekonawszy się, że ma prawdziwe włosy, z uniesieniem przyciska ją do serca.

— To moja hrabina!.. Zaniosę ją do mego domku.

— Możesz zanieść ją, gdzie ci się podoba; jest twoja.

Lulu całuje lalkę w dowód miłości i zeskoczywszy z kanapy, biegnie do gabinetu, gdzie pod biurkiem ma swój domek, swoje zabawki, łóżeczko i wózeczek Titi. Tam zastaje ją panna Eugenia, która punkt o czwartej zadzwoniła do domu poety.

Wszedłszy do gabinetu, z uśmiechem schyla się do dziewczynki i zaczyna z nią gawędzić, jak z dawną znajomą.

— Przyszłam się dowiedzieć, czy ta panienka jest grzeczna, czy nie grymasi — mówi, wskazując na lalkę.

Lulu z lalką na kolanach wychyla główkę z pod biurka i czarnemi oczkami przygląda się bystro nieznajomej siwej pani, która rozmawia z nią tak poufale i wcale nie żąda, żeby ją całowano. Panna Eugenia sprawiła na niej korzystne wrażenie, Lulu kładzie więc paluszek na ustach i przestrzega:

— Cicho! śpi!

— Nie trzeba jej budzić! Wszyscy niech będą cicho! — z przejęciem szepce panna Eugenia.

Lulu jest zadowolona, że zrozumiano ją odrazu, i uśmiecha się do gościa. Nikt nie spodziewał się, że znajomość pójdzie tak gładko. Roero jest uszczęśliwiony.

— Pani posiada głos tak miły i dźwięczny, że odrazu chwytasz dzieci za serce — mówi do panny Eugenii.

— Pierwsze lody już przełamane — odpowiada z uśmiechem pana Eugenia, podnosząc się.

Jest zarumieniona i trochę zakłopotana. Pierwszy raz w życiu jest sama w mieszkaniu młodego mężczyzny — i w dodatku, poety; sprawia to na niej pewne wrażenie. Z podziwem i ciekawością rozgląda się dokoła.

— Segantini i Favretto? — pyta z żywością, wskazując na obrazy.

Otrzymawszy potwierdzającą odpowiedź, przygląda im się z zachwytem, ale nic nie mówi.

— Jakie piękne rzeczy musi pan tworzyć w tem otoczeniu — odzywa się i schyla się znowu do Lulu.

— Śpi jeszcze?

— Już się obudziła.

— No to chodź i pokaż mi ją.

Roero przysuwa krzesło pannie Eugenii, która dziękuje mu skinieniem głowy. Dziewczynka posłusznie wychodzi z pod biurka i położywszy lalkę na jej kolanach, sama z zaufaniem opiera na nich rączki.

— Jak się nazywa ta piękna pani?

— Hrabina.

— Jest pewno grzeczna? Ale i Lulu jest grzeczna i da mi buzi.

Dziewczynka odrazu podnosi twarzyczkę i całuje ją w usta.

Panna Eugenia zachwyca się lalką:

— Ach! jaka piękna! jak ślicznie ubrana!

Oczy małej błyszczą radością.

— Pan Franciszek jest bardzo dobry, że kupił ci lalkę. Czy podziękwałaś mu za tak wspaniały podarek?

Twarzyczka Lulu zachmurzyła się: jeszcze nie przebaczyła „panu", unika jednak odpowiedzi.

— Hrabina już nie śpi! — woła.

— Czy podziękowałaś panu Franciszkowi? On jest bardzo dobry i kocha cię.

Usteczka dziecka drżą, oczy nieśmiało zwracają się na Franciszka, który bierze ją na kolana i mówi ze śmiechem:

— No, pogódźmy się!

Lulu zarzuca mu ręce na szyję, dusi go w uścisku, drze za włosy i okrywa pocałunkami.

Panna Eugenia z rozrzewnieniem patrzy na nich oboje: na młodziutkiego przybranego ojca, który jest tak dobry dla małej sierotki, i na piękną, roztropną dziewczynkę, która prócz niego nie ma nikogo na świecie.

— A Titi? — zapytuje, pamiętna swego zadania nauczycielki — pokaż mi Titi.

Lulu patrzy na nią zdziwiona: zapo-

mniała zupełnie o starej lalce, ale chcąc usprawiedliwić swoje zapomnienie, mówi:

— Titi brzydka... niegrzeczna... zła.

Jeżeli jest brzydka, tem więcej kochać ją trzeba, bo to jest nieszczęście. Nie wierzę, żeby była zła i niegrzeczna, tutaj niema takich. Wszyscy są dobrzy i grzeczni.

Dziewczynce bardzo się to podoba.

— Lulu też dobra?

— Naturalnie. Chodźmy poszukać Titi.

Lulu prowadzi pannę Eugenię do salonu, gdzie pod fortepianem leży nieszczęsna Titi bez nogi i w łachmanach.

— Brzydka Titi! — mówi Lulu, dumna ze swojej hrabiny, którą trzyma w objęciach.

— Biedna moja Titi! — użala się nad nią panna Eugenia, wyciągając lalkę z pod fortepianu. — Lulu już jej teraz nie kocha, nie pieści.

— Brzydka Titi — jeszcze raz powtarza dziewczynka, chcąc tą naganą uciszyć głos sumienia.

— Brzydka, bo Lulu jej nie kocha, ale ja będę ją kochała, to zaraz wyładnieje. Zabiorę ją z sobą, kupię jej piękny kapelusz, uszyję nową sukienkę, wymyję i uczeszę, każę dorobić nóżkę i przyniosę tutaj. Jestem pewna, że ją pokochasz. Kiedy mamy przyjść?

— Dziś! — woła Lulu.

— Nie! Dziś nie zdążę uszyć sukienki, ale przyjdziemy jutro rano. Dobrze?

— Dobrze! dobrze!

Panna Eugenia ucałowała ją w główkę. Roero był zdumiony, że ten mały dzikus odrazu dał się obłaskawić.

— Kupię też trzewiczki dla Titi — mówi panna Eugenia — jakie chcesz: czarne czy żółte?

Lulu odpowiada, lecz oparta wciąż na kolanach panny Eugenii podnosi nóżkę i mówi:

— I mnie tatuś kupi ładne nowe trzewiczki... ale nie dziś... pojutrze.

Dziecko nie zapomniało.

IV.

— Jak tylko będę mógł powierzyć Lulu pannie Eugenii — powiedział Roero do przyjaciela — zaraz jadę do Mentony, albo Bordighery kończyć Aryadnę.

Nie przeszło dwóch tygodni, a Lulu całem sercem przywiązała się do pięknej *mamusi*. Mimoto Roero z dnia na dzień odkładał swój wyjazd i Aryadna wciąż nie była skończona.

— Ja głową pracuję — odpowiadał pannie Eugenii, która gorąco zachęcała go do pracy.—Dopóki nie będę miał zakończenia do trzeciego aktu, nie mogę wziąć się do pisania.

Niestety! młody poeta ma co innego w głowie, niż zakończenie trzeciego aktu: myśl o Fani, miłość i tęsknota do niej coraz więcej go pochłaniają. Najgorzej wychodzi na tem Olivieri.

— Gaduła! deklamator! — zżyma się na niego Roero. — Fania miałaby być intrygantką, chciwą władzy, kobietą niebezpieczną!...

Co znowu! Ma wiele dowcipu i rozumu, chce podobać się tym, którzy jej nadskakują, alež to zupełnie naturalne!... Olivieri nienawidzi Stefanii, gdyż odprawiła go z kwitkiem.

Żałuje teraz, że przestał u niej bywać.

— Myślałem, że moja obojętność ją dotknie, tymczasem nie daje znaku życia, chociaż od trzech tygodni tam nie byłem. To jest niepojęte! Przecież gdyby mię nie kochała, nie\ byłaby tu przyszła; taki krok czynią tylko kobiety, które zupełnie straciły głowę...

Jest tak przekonany o tem, że codzień o piątej wysyła z domu Lulu z Ludwiką i nadstawia ucha za każdym szelestem, wyczekując gorączkowo przyjścia Fani. Oczekuje daremnie i po tygodniu postanawia złożyć broń.

— Niech będzie, co chce, ale ja nie mogę żyć bez tej kobiety! Może skutkiem tego nie stanę się wielkim pisarzem; mniejsza o to! Fania jest piękniejsza, droższa i bardziej pożądana, niż sława.

Tego samego dnia idzie o piątej do pani Angelis, gdzie spodziewa się zastać donnę Stefanię. Niema jej, a pani domu pyta go o nią:

— Co się dzieje z Fanią? Od wieków jej nie widziałem!

Roero przechadza się nazajutrz po ulicach, któremi Fania idzie zwykle do kościoła, ale nie spotyka jej. Ogarnia go gniew i niepokój.

(d. c. n.).

Jak walczyć ze szkarlatyną (płonicą)?

Zaraźliwość choroby. Odosobniego chorego. Czystość i odkażanie. Znaczenie zaziębienia. Po chorobie dezynfekcya rzeczy i mieszkań. Z historyi choroby. Usposobienie do zasłabnięcia. Czas tworzenia się choroby. Kardynalne przepisy.

Niejednokrotnie już na łamach tego pisma poruszałam sprawę chorób zakaźnych, pouczając Sz. Czytelniczki, jak należy postępować, by uchronić dzieci od tych chorób; jeżeli wracam dziś do tego tematu, szczególnie zaś do omówienia szkarlatyny, czynię to dlatego, że znajdujemy się obecnie w okresie grasowania tej strasznej choroby — która jednak nie zabierałaby tyle ofiar, gdyby społeczeństwo nasze chciało czynem, a nie słowem zaznaczyć swoją walkę z wrogiem, przeważnie bowiem niedbalstwo i nieostrożność, niekiedy tylko nieświadomość przyczyniają się do szerzenia zarazka — do zwiększania liczby zachorowań i śmierci.

Chcąc zapobiedz chorobom zakaźnym, trzeba, znając źródło zarazy, usunąć je i zniszczyć, przeszkodzić przenoszeniu tych źródeł. Zarazki mogą być przeniesione przez dotknięcie chorego, przez wydzieliny chorych (w szczególe, wydzieliny świeże, zgęszczone), przez bieliznę, pościel, suknie, meble, książki, zabawki i t. p., naczynia do jedzenia lub picia, wreszcie przez powietrze, wodę i ziemię, przez owady kąsające (komary, pluskwy, pchły i wszy).

Zniszczyć i usunąć źródła zarazy można tylko przez dezynfekcyę.

Ponieważ najgłówniejszem źródłem zarazy jest sam chory, przeto pierwszym obowiązkiem jest odosobnić chore dziecko od zdrowych. Zarazki mogą być przeniesione, jak już wspominałam, przez bieliznę, pościel, sprzęty i wogóle przez to wszystko, co z chorym miało styczność—stąd wniosek, że należy się umiejętnie obchodzić z temi rzeczami. Umiejętność ta polega na zbieraniu wydzielin chorego dziecka (plwocin, ropy, moczu i t. p.) do naczyń napełnionych roztworem karbolu (łyżeczka na szklankę wody); po zachowaniu ich tam conajmniej przez sześć godzin wylewać je należy do zlewów. Naczynia myte do jedzenia i picia wkłada się do garnka z roztworem sodowym (pół łyżeczki sody na szklankę wody) i wygotowuje się. Bieliznę osobistą dziecka i z pościeli należy włożyć do naczynia z sodą (2 prc.) i gotować przez godzinę. Co się tyczy pokoju, w którym dziecko przebywa, to trzeba w nim podczas choroby zachować pedantyczną czystość. Nie trzeba zbierać kurzu na sucho, lecz ścierką wilgotną, umaczaną w roztworze sublimatu 1:1000, — podłogi zmywać rozczynem sublimatu 1:1000, tępić robactwo; zabawki, książki, któremi się dziecko bawiło, spalić. W pokoju chorego należy nietylko spełniać, co wymienione wyżej, lecz utrzymywać ciało dziecka w czystości. Zaziębienia przez mycie obawiać się nie trzeba, tak samo, jak nie trzeba przypisywać zaziębieniu chorób zakaźnych — a więc i szkarlatyny. Albowiem choroby zakaźne powstają nie wskutek zaziębienia, lecz zarażenia (infekcyi). Zaziębienie jest tylko jednym z czynników ułatwiających zakażenie (jest to właściwie samozakażenie ustroju)— zmniejsza ono odporność organizmu dziecka względem drobnoustrojów, które w danej chwili w jego ustroju znajdować lub dostać się do niego mogą, i wywołuje pośrednio zakażenie. Dziecko dostało szkarlatyny, odry, dyfterytu i t. p. nie dlatego, że się zaziębiło, lecz że się zaraziło.

Po przebytej chorobie należy odesłać do specyalnego zakładu dezynfekcyjnego pościel (biedni mogą mieć dezynfekowane rzeczy i mieszkanie za darmo. Koszty ponosi miasto). Mieszkanie należy odkazić za pomocą lampy i formalinowych pastylek. O ile kogo stać na to, może powierzyć dezynfekcyę specyalnym zakładom. Należy też zniszczyć tapety, lub kazać świeżo wymalować pokój, w którym chore dziecko przebywało.

Wszystkich tych przepisów powinny przestrzegać ściśle osoby dozorujące chore dziecko.

Zapobiedz przenoszeniu zarazków przez osoby pielęgnujące chorego (o ile nie został odesłany do szpitala). Powinny osoby takie nosić specyalne fartuchy, okrywające całe ubranie, myć ręce roztworem sublimatu (1:3000), twarz i włosy spirytusem, przebierać się i kąpać, o ile wychodzą na miasto.

Oto przepisy, które powinny nas obowiązywać w każdej chorobie zakaźnej, a więc i w szkarlatynie, o której wiemy, że jest zaraźliwą od początku, aż do samego końca choroby.

Plaga ta w postaci płonicy znaną jest już oddawna, gdyż już w XII i XIII w. opisywano płonicę, uważając ją za jedną z najniebezpieczniejszych chorób wysypkowych. Dokładna znajomość i opis choroby przybyły z Anglii, gdzie w XVI w . straszne epidemie trapiły mieszkańców. Znane są

też i opisywane epidemie w innych krajach, co pozwoliło poznać dokładnie tę chorobę. Jedynie tylko mało podatną do rozwoju szkarlatyny, okazała się Azya (przeważnie Indye), oraz Afryka.

Usposobienie do szkarlatyny jest większe u dzieci—przeważnie do lat dziesięciu, mniejsze u dorosłych, chociaż i doroślimogą zachorować.

Zarazek płonicy nie jest nam dotychczas tak dobrze znany, jak inne. Najczęściej wszakże znajdujemy w wydzielinach chorych na płonicę specyalny drobnoustrój, t. zw. *paciorkowiec ropny*, pojawiający się pod postacią kuleczek, ułożonych, jak paciorki. Badania posuwają się coraz dalej szybkim krokiem. Zdołano już chorobę wywołać doświadczalnie u małp, może więc wkrótce poznamy dokładnie wroga, który tyle ofiar pochłania. Dotychczas stwierdzonem zostało, że zarazek płonicy znajduje się we wszystkich wydzielinach chorego w łuskach (jak wiadomo, po przebyciu tej choroby skóra łuszczy się), w powietrzu otaczającem chorego, można się bowiem zarazić, oddychając powietrzem w pokoju chorego. Wreszcie znajduje się w rzeczach, zabawkach, sprzętach: we wszystkiem, co miało styczność z chorym.

Czas, upływający od zakażenia, t. j. dostania się drobnoustrojów do ustroju, do czasu pojawienia się pierwszych objawów choroby, czyli t. zw. okres wylęgania, podają na 4—8 dni (maximum 21 dni), niekiedy 7—24 godzin. Recydywa (tj. powtórne zachorowanie, o ile już raz dziecko przebyło szkarlatynę), zdarza się rzadko, chociaż nie jest wykluczoną.

Tutaj jeszcze zaznaczyć należy, że o ile w jednej rodzinie nie wszystkie dzieci naraz na szkarlatynę zapadają, to fakt ten nie wyklucza bynajmniej zaraźliwości tej choroby. Pozostałe dzieci nie dlatego nie zachorowały na płonicę, że choroba zaraźliwą nie jest, lecz dlatego, że w danej chwili do przyjęcia zarazka nie miały skłonności. Ponieważ nigdy nie wiemy, czy dane zdrowe dziecko jest skłonnem do zarażenia się lub nie, przeto powinniśmy, o ile to jest tylko możliwem, odosobnić chore dzieci od zdrowych.

Ponieważ jednak zarazek płonicy zachowuje swoją żywotność i poza organizmem chorego, dlatego nie wystarcza odosobnienie, t. j. odesłanie do szpitala, lub izolowanie w jednym pokoju, nie mającym styczności z pozostałemi.

Dezynfekcya zależy od dobrej woli właściciela mieszkania, — a należałoby, by służba zdrowia postępowała u nas tak, jak za granicą, tj. z całą bezwzględnością. Za granicą izolacya chorych, oraz ich otoczenia—odkażanie po przebytej chorobie obowiązują wszystkich pod karą policyjną. Nie zgodzić się na dezynfekcyę, nie można — płaci się za to karę lub odsiaduje w areszcie. W niektórych państwach (w Anglii) nie wolno chorych na szkarlatynę trzymać w domu — dla niezamożnych są szpitale, dla zamożniejszych domy zdrowia — opłata stosowana do zamożności pacyenta. U nas... starają się rodzice ukryć dziecko chore, by zdrowe z zakażonego domu mogło dalej chodzić do szkoły — dziecko nie traci tym sposobem coprawda lekcyi — a rodzice pieniędzy, — lecz zato sieje zarazę — zwiększa liczbę zachorowań, śmierci i... nieszczęśliwych rodziców!

Czyż nie należałoby tu przypomnieć rodzicom o świętych słowach: „nie czyń tego drugiemu, co tobie niemiło". Pamiętajmy, że u jednych przebieg szkarlatyny jest lekki, i że choroba kończy się szybko, u innych zaś może mieć przebieg ciężki z powikłaniami w gruczołach, nerkach, uszach i t. p., może się skończyć śmiercią — że dzieci, wychodzące z domu, gdzie rodzeństwo miało lekką szkarlatynę, mogą być roznosicielami przypadków ciężkich — śmiertelnych.

Czyż wobec tego, nie jest karygodnem, że publiczność sprawę ochrony przed tą plagą traktuje lekko.

Czyż trudnem jest spełnienie najgłówniejszych przepisów. Oprócz tego, co powiedziane wyżej należy zachować następujące ostrożności:

1-o. Usunąć chore dziecko lub zdrowe; osoby trzecie nie powinny być łącznikiem pomiędzy chorem dzieckiem a odosobnionem.

2-o. Wydzieliny z nosa i gardła, należy zbierać na watę i palić, z plwociną, łuskami, bielizną itp. postępować, jak mówiono wyżej, dla chorób zakaźnych wogóle.

3-. Do szkoły uczęszczać mogą dzieci odosobnione zdrowe po 3-ch tygodniach, tj. gdy minie 21 dni, uznane za maximum dla okresu wylęgania; jeżeli po upływie tego czasu odosobnione dziecko nie zachorowało, to znaczy, że się nie zaraziło tym razem. Te dzieci, które przebyły szkarlatynę, mogą iść do szkoły po 6 tygodniach, o ile ukończone jest łuszczenie, (o tem decyduje lekarz), po wykąpaniu dziecka i zrobieniu dokładnej dezynfekcyi. Nad internatami i szkołami powinien być rozciągnięty ścisły nadzór lekarski.

Wiemy zatem, co czynić podczas choroby i po niej, by nie dopuścić do przenoszenia zarazków. Przepisy nasze są dostępniejsze i mniej energiczne może od mojżeszowych przepisów dezynfekcyi po wyzdrowieniu z chorób zaraźliwych, brzmiały one bowiem, jak następuje: „Powinieneś obciąć sobie wszystkie włosy, nietylko na głowie, lecz i na brodzie i brwiach (!), wyprać swe ubranie i wykąpać się w wodzie".

Niestety niewszyscy zachowują się, jak należy, gdy w domu zapadł kto na chorobę zakaźną. A jednak nieco chęci, nieco starań i dobrej woli, a ileżby mniej było wypadków, ile mniej łez wylanych z powodu straty drogich nam istot!

D-r. med. Matylda Biehler.

Porady ogrodnicze

na miesiąc październik.

W ogrodzie owocowym i szkółce.

W początku miesiąca założyć na pniach drzew owocowych opaski z papieru, na 15 cm. szerokie, przywiązać je do pnia rafią i posmarować lepem lub smołą. Smarowanie to odnawiać aż do połowy listopada, gdy wysycha i przestaje być lepkiem. Na tych opaskach przylepiają się samice przedzimek (Geometra), którym one przeszkadzają dopełznąć do pąków i przy nich jajka złożyć. Pud lepu starczy na 500 drzew. Październik jest najodpowiedniejszym miesiącem do sadzenia wszelkiego rodzaju drzew i krzewów. Zwłaszcza w gruntach suchych korzystnie jest wykonać sadzenie w jesieni. Przystąpić do sadzenia można zaraz po pierwszych przymrozkach i szronach, które powodują opadanie liści; liście trzymające się na drzewach należy usunąć, inaczej wskutek parowania marszczy się kora. Przed posadzeniem drzew, zwłaszcza większych, należy zasypać w $^{3}/_{4}$ przygotowane doły, by ziemia mogła się na nich uleżeć, przez co po posadzeniu drzewa nie zagłębiają się.

W pierwszych dniach miesiąca przystąpić do zbierania zimowych gruszek i jabłek; odmiany bardzo długo dające się przechować, można zbierać dopiero około połowy miesiąca, jeśli parostopniowe przymrozki nie stają temu na przeszkodzie.

Do piwnic po umieszczeniu w nich owoców należy wpuszczać dużo powietrza; otwory powinny być nie zatykane, aż do nastania mrozów.

Cięcie jesienne na jabłonkach karłowych powinno być dokonane.

W październiku najlepiej robić wszelkie regulówki w ogrodach, zwłaszcza pod szkółki owocowe.

Grona winorośli późnych odmian poodwracać do słońca tak, aby strona zwrócona poprzednio do ściany znajdowała się na słońcu; dopomaga to jednostajnemu dojrzewaniu gron. Gdy w końcu miesiąca zdarzy się mróz, który zwarzy liście winorośli, przystąpić do cięcia krzewów.

Chcąc przechować winogrona w stanie świerzym, należy uciąć je z kawałkami wici, na 2 do 3 oczek nad gronami. Takie grona zagłębić wiciami we flakony, zawierające wodę, z domieszką węgla drzewnego, i umieścić w przechowalni owoców.

W *szkółkach* mnożyć porzeczki z sadzonek; porobić odkłady agrestu i obsypać pigwy. Zrobione w przeszłym roku odkłady agrestu rozsadzić. Krzaki wszystkich wymienionych tu krzewów obłożyć nawozem i ziemię przekopać.

Posadzić w szkółce dziczki.

Dla otrzymania ziarnek gruszkowych do siewu, zebrać ulęgałki, poddać gniciu i wydobyć z nich przez wymycie ziarnka, które należy zasypać w piasku do wiosny. Z jabłkami dzikiemi również tak samo należy postąpić.

Ze śliwek otrzymane pestki również należy stratefikować, t. j. przesypać piaskiem, lub siać prosto na zagony w rowki.

W ogrodzie warzywnym.

W inspekcie zimnym, przeznaczonym na rok przyszły, skrzynie zagłębić, a ziemię przykryć liśćmi lub suchym nawozem. Nawóz suszyć, jak w maju.

Na gruncie. Wykopywać wszystkie warzywa i oczyszczone chować do piwnicy, z wyjątkiem jarmużów, części pietruszki i porów. Na szparagach ściąć zżółkłe łęciny i zagony przykryć drobnym nawozem dla poprawy ziemi (wykonywać to co parę lat). Urządzić ziemię pod wczesny siew wiosennej rzodkiewki i szpinaku, oraz do pędzenia karp szparagowych (przy znoszeniu starej szparagarni przeznaczonych do pędzenia.

W ogrodzie ozdobnym i kwiatowym.

Sadzić drzewa i krzewy, jak to powiedziano wyżej o ogrodzie owocowym.

Zbierać nasiona drzew liściastych, jak: kasztany, orzechy, dęby, lipy, klony, i iglastych, jakoto: jodła, żywotnik (Thuya) i t. p. i w celu zachowania ich zdolności kiełkowania do wiosny, zasypać piaskiem. Tak samo postąpić z nasionami drzew, bardzo szybko tracącemi zdolność kiełkowania, jako to: wiąz, grab, brzoza, i bardzo twardemi, jak: głóg, róże i inne. Głogi i róże bardzo często nie wschodzą, dopiero po 2-ch latach stratyfikowania.

Zabrać z gruntu przed mrozem rośliny, użyte do ubierania klombów, jak: Agave, Dracaena i t. p., jeśli dotychczas tego nie zrobiono. Wykopać po przymrozku Canna, Calladium, georginie i t. p. rośliny dla przechowania ich kłączów przez zimę. Rośliny po wykopaniu trzymać parę dni na słońcu dla przesuszenia, poczem oczyścić i umieścić w miejscu przewiewnem; gdy nadejdą mrozy, przenieść je w miejsce od nich wolne.

Rośliny trwałe gruntowe, Paeonia i t. p., pozrzynać przy ziemi. Krzaki tych roślin można rozbierać na części i rozsadzać.

Laki, jastruny (Chrysanthemum), trzymane dotychczas na dworze, wnieść do szklarni, lub zamknąć w skrzyniach, tak zwanych, belgijskich.

Ubierać klomby po usunięciu z nich roślin letnich — cebulkowemi, na kwitnienie wiosenne. Siać w grunt rośliny wcześnie kwitnące, jak: Alyssum saxatile, Delphinium Ajacis hyacynthiflorum, Silene Pendula, które zdobić będą wczesnem kwitnieniem wiosenne klomby.

Ukończyć przesadzanie roślin, zabierannych napowrót do szklarni z klombów, jak: Begonia, Fuchsia, Pelargonium.

Wnieść do szklarni rośliny wytrzymałe na przymrozki, lecz mogące uledz większym mrozom, jak Laurus i różne iglaste doniczkowe. Szklarne zimne przewietrzać; w cieplarniach zaś przepalać rankami, zwłaszcza w dni pochmurne i chłodne.

Skosić i zgrabić ostatni raz przed zimą trawniki; długa trawa przez zimę gnije lub przeje. Gromadzić liście, opadłe z drzew, tak dla oczyszczenia ogrodu, jakoteż dla zużytkowania ich do przykrycia niektórych roślin i na nawóz.

Sadzonkować krzewy ozdobne wprost na zagonkach w szkółce. Sadzonkowanie takie jesienne jest często korzystniejszem od wiosennego. Nie udające się z sadzonek, jak niektóre *Spirea* i inne — mnożyć przez dzielenie krzaków.

Z balkonów około połowy miesiąca posprzątać pelargonie; posadzić do doniczek lub z całemi skrzynkami przechować w ciepłym pokoju lub w suchej piwnicy. Pelargonie i inne rośliny zastąpić na zimę młodemi świerkami, wrzosem lub mchem.

Michał Nagay.

Informacya.

Pani Zofii D. Ależ, pani Szanowna. Wszelkie, nawet najwybredniejsze wymagania jej w zakresie naczyń kuchennych i gospodarczych najdoskonalej zaspokoi firma J. S. Korsak, Marszałkowska 141 tel, 90-55. Posiada On również filię przy ul. Chłodnej № 34. Radzimy Szan. Pani udać się tam a napewno żałować nie będzie.

Informacya.

Pani Maryi K. Tak, pani. *„Tlenol"* jako preparat nie zawierający w sobie mydła, tak szkodliwego dla emalii zębów, jest jedynym środkiem znakomicie konserwującym zęby i dezynfekującym jamę ustną. Radzimy spróbować.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. Nowackiej. Serdecznie dziękujemy za jej miły list. Sama nas Pani rozgrzesza, pisząc: „jedne z pań mają pociąg do gospodarstwa wiejskiego i chcą wiedzieć np., skąd nabyć nową rasę kur, inne chcą należeć do samorządu, a jeszcze inne polerować godzinami paznogcie, lub przypalać każdy włos oddzielnie nad świecą. Przy tak wielkiej różnorodności pytań nie dziwię się i nie niecierpliwię, gdy wypadnie poczekać na odpowiedź, a często znajduję ją już w „Naszym Domu" na moje nie sformułowane jeszcze zapytanie, za co wypada mi tylko podziękować Sz. Redakcyi".

Mimo to, przepraszamy, polecając się nadal Jej sercu. A Szanowne Czytelniczki upewniamy, że przytoczenie powyższego ustępu nie mówi wcale o jakiejś myśli ukrytej...

Zawsze na wszystko, co tylko wiemy, odpowiadać i radzić jest naszem gorącem pragnieniem.

Dla P. Maryi. Trudno ściśle określić, gdzie u artysty zaczyna się samodzielna twórczość, a gdzie granica tego, co wziął z życia. „Materyał" wtedy

staje się *dziełem sztuki*, kiedy go samodzielnie pisarz przerobi, według wizyi, zrodzonej we własnej duszy. W powieści, o którą Pani pyta — niezawodnie mogą być motywy zaczerpnięte z życia, ale czy są *powtórzeniem* życia — nie zdaje nam się.

Warszawiance... „Czy wypada“? Kiedyż przyjdzie czas, w którym tak wszyscy dojrzejemy kulturalnie, że nie będzie miejsca na najlżejsze wahanie: wypada to — lub nie?

Radzić w tym razie nie możemy. Równie dobrze może być to szantaż, jak dobroduszność. Nie wiemy.

Stałej Prenumeratorce A. L. Ludzie są ułomni. Zapewne, że ten człowiek, który przez 12 lat kochał, *mając żonę*, inną kobietę i to pannę, a potem po śmierci żony — ożenił się z inną, nie postąpił uczciwie. Ale dlaczego *panna*, przyjmowała względy *żonatego* człowieka? Wszystko na świecie się płaci. Wszystko. Słabość swoją opłaciła zawodem dlatego, że w danej chwili nie umiała się ująć w karby. Tak nam się zdaje.—Jedyny wymiar sprawiedliwości: odejść bez słowa.

P. Sudnik... Jak rozwija się fabryka tkacka? Nic nam Pani nie pisze, a radzibyśmy tą wiadomością podzielić się z Czytelniczkami, które pewno będą rade, jeśli się o jej losach dowiedzą. Jeśli Pani chce wysłać towar do Warszawy, to do Ziemianek. Adres. Tow. Z. Ziemianek, Warszawa. Kopernika 14.

P. F. Rup... Nie wiemy.

P. Wiśn... Dziękujemy. Zapisujemy.

„Nudnej“. Niezawsze. To zależy, czy znalazł nakładcę. Niech Pani załatwi przez *„Dziennik Poznański“*, pisząc Posen, bo jest taka w cywilizowanym kraju barbarya, że giną listy, na których tylko polski adres się znajduje.

Ofiary.

Dla Sylwka. M. Niewiarowska rb. 3.

Dla syna wdowy N. A. Mroczek rb. 7.

Na wpisy szkolne. W dniu imienin p. Wacława Podwińskiego. L. Kot. rb. 3.

Koniec działu redakcyjnego.

Treść N-ru 40-ego:—Domy dziecięce we Włoszech.—Barbara Tryźnianka.—Po skończeniu szkół.—Kobieta na placu boju.—Z mądrości wschodu.—Ruch teatralny.—Odgłosy prasy.—Projekt służby wojskowej dla kobiet.—Pątnik anielski.

Mody.—Kronika mody.—Kapturki wieczorowe.—Roboty ręczne. Wychowanka. Jak walczyć ze szkarlatyną (płonicą). Porady ogrodnicze.—Odpowiedzi od Redakcyi.—Z dziedziny kosmetyki.—Ogłoszenia.

Na okładce:—Wskazówki praktyczne.—Ogłoszenia.

Z dziedziny kosmetyki.

Troskliwej. Aby włosy dziecinie nie ciemniały, myć główkę co dwa tygodnie rumiankiem zwykłym, a raz jeden na miesiąc zwilżać płynem *Hella.*

B. Z. w Sosnowcu. Piegi, plamy, opaleniznę i pręgi ciemne z szyi usunie *Precioza,* oraz zapudrowanie, bezpośrednie po nasmarowaniu, pyłkiem *Juvenia Candida.* Twarz pięknie konserwuje *Abarid,* ale dopiero po zużyciu *Preciozy.* Włosy wzmocni stanowczo *Salvol.* W Sosnowcu u Jagiełłowicza.

Wieśniaczce. Specyfik, o którym Pani wspomina, nigdy nie może być używany przy masażystce *Heros* do biustu. Do tego aparatu jest specyalny tłusty balsam płynny, zwany również *Heros;* można go zażądać osobną porcyę, a nawet lepiej podwójną, gdyż znacznie taniej wynosi. Masować tym aparatem trzeba tylko jeden muskuł, prowadzący od ramienia w okolicy pachy aż do gruczołu piersiowego. Masaż powinien trwać 15 minut, już na obie strony biustu. Robić to dosyć silnie, ale nigdy nie dotykać brodawki. Masaż taki, systematycznie codzień robiony, w kilka miesięcy musi dać poważne rezultaty. Na rozstrojone nerwy, które Panią wycieńczają, pysznym środkiem są *Saszety Eucapinol.* Są to krążki z masy papierowej, nasycone ekstraktami eukaliptusowemi i przeróżnych drzew iglastych. Jedna saszeta, wydobyta z pudełka, a jest ich około setki, i położona na noc w sypialni, ozonuje powietrze i przesyca atmosferę wonnemi balsamami, kojąco działającemi na cierpiące nerwy, a jednocześnie korzystają płuca i drogi oddechowe, gdyż rozpylone w powietrzu te dobroczynne ekstrakty przeciwdziałają wszelkim zadawnionym bronchitom i katarom. Saszetów tych nie należy porównywać ze wszelkiego rodzaju leśnemi wodami, w których zawsze jest szkodliwy na płuca spirytus i część terpentyny gryzącej.

Halinie Jadwidze. Za pochlebne słowa uznania dzięki serdeczne. Nietylko puder *Florentine* do mycia głowy na sucho, lecz wszelkie środki, przez nas polecane, są prawie zawsze niezawodne, gdyż, nim je oddamy naszym Czytelniczkom do użytku, sprawdzamy skuteczność setki razy zapomocą licznych znajomych. Na siwiejące włosy najlepiej użyć *Excelsior,* szczególniej przy kolorze szatyn, nie zabardzo czarnym. *Excelsior* nie wala bielizny i nie daje stanowczo tęczowych odcieni. Puder *Florentine* używać w dalszym ciągu do czyszczenia i odtłuszczania włosów, raz na dwa tygodnie. *Excelsior* używać codziennie, aż do chwili, kiedy otrzymamy kolor właściwy; później raz na tydzień, raz na dwa tygodnie, ale przy skroniach trzeba bardzo często, jeżeli chcemy, aby nikt nie mógł rozpoznać, że używamy sztuki.

Prenumeratorce. Wewnętrzne środki na poprawienie form biustu, są niebezpieczne — masażystka *Heros* zło naprawi.

Zofii. Gorąca woda i zwilżanie nosa *Nezaliną.*

Do Wszystkich. Środki te mają: *„Perfection“*, Szpitalna, 10, i *Paszkowski*, Marszałkowska, 109, oraz Nowosenatorska, 2; w Łodzi *Spiess,* w Wilnie *Grużewski,* we Lwowie *Pawłowski,* Akademicka, 21. Na kopertach dopisać należy: *„Dział kosmetyczny“.*

Telimena.



WARUNKI PRENUMERATY:

PRENUMERATA WYNOSI w Warszawie:
Kwartalnie . . . . rb. 1 k. 25
rocznie . . . . rb. 5 k. —
za odnoszenie do domu . . . . . k. 10
zmiana adresu . . . . k. 15

Z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . . rb. 1 k. 50
rocznie . . . . rb. 6 k. —
We wszystkich państwach związku pocztowego kwartalnie . . . . rb 1 k. 60

PRENUMERATA W KRAKOWIE:
kwartalnie kor. 4, rocznie or. 16.
W GALICYI I AUSTRYI:
kwartalnie kor. 4.40, rocznie kor. 17.00.
Zmiana adresu 40 hal.

CENY OGŁOSZEŃ:
Za wiersz petitu jednoszpaltowy lub jego miejsce na stronie zewnętrznej okładki kop. 20, na wewnętrznej kop. 15. W tekście kop. 30. I strona okładki kop 40.

Redakcya i Administracya w Warszawie, Zgoda 1. Telefon Redakcyi 80.75, Administracyi 73.22. Redaktorka przyjmuje interesantów od godziny 5-tej do 7-ej codziennie oprócz poniedziałków. Filia w Łodzi, ulica Piotrkowska 81, telefon 12.00, firma „Promień“. *Reprezentacya na Galicyę*: Kraków, ul. Bonerowska 12. Filia we Lwowie, ul. Leona Sapiehy 2. Agencya w Poznaniu: Księgarnia św. Wojciecha.

Adres Redakcyi i Administracyi: Zgoda 1. Warszawa.

Odpowiedzialna za redakcyę w Galicyi: Kamilla Chołoniewska, Kraków, ulica Dunajewskiego 1.

Za redaktora Stefan Krzywoszewski. Kierowniczka działu literac. i praktycz. Lucyna Kotarbińska. Wydawnictwo Tow. Akc. Wydaw. „Świat“

Klisze i druk wykonane w Zakładach Graficznych Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów.